POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień. ***Dnia 24-go maja 1941r.*** **Rok III. Nr. 21**

Wielka Brytania prowadzi wojnę

Gdyby brać wszystko dosłownie, nic nie byłoby łatwiejszego, jak wykazać, że słynne powiedzenie "Wielka Brytania przegrywa wszystkie bitwy z wyjątkiem ostatniej" — jest wprawdzie bardzo efektowne, ale znacznie mniej ścisłe historycznie. Z wyjątkiem okresu wojen napoleońskich, kiedy ostatecznie po bardzo, bardzo długim okresie klęsk i niepowodzeń przyszło decydujące zwycięstwo pod Waterloo i z którego to okresu to zdanie bodaj pochodzi, Anglia bynajmniej nie przegrywała wszystkich bitew w toczonych przez się wojnach, tak samo jak nie zawsze wygrywała bitwę ostatnią.

Ale nie ma dymu bez ognia . . . Jeżeli zdanie to "Anglia przegrywa wszystkie bitwy za wyjątkiem ostatniej" nie jest całkiem ścisłe historycznie, to jednak dosadniej, niż cokolwiek charakteryzuje ogólną, niemal niezmienną tendencję wszystkich wojen prowadzonych przez Brytyjczyków. Wystarczy otworzyć historię W. Brytanii w okresie którejkolwiek z wojen, czy to będzie sto, czy dwieście lat temu, by wykrzyknąć: Boże, przecież to kubek w kubek historia obecnej wojny! Mało jest wypadków, by historia tak się powtarzała, jak właśnie w wypadku angielskich wojen.

"Początek wojny był nieszczęśliwy dla Anglii."—To zdanie spotykamy niemal w każdym rozważaniu na temat wojen prowadzonych przez Anglię w ostatnich stuleciach. Z reguły pierwszy, bardzo często i drugi rok wojny jest mniej lub bardziej niefortunny. Klęski sypią się za klęskami, sytuacja wydaje się ciężka, niemal beznadziejna. Ale później przychodzi przełom i koniec końców, przegrawszy wprawdzie nie wszystkie, lecz wiele bitew, Anglia wygrywa wojnę.

Wiele rzeczy składa się na to, że początek każdej wojny po prostu musi być dla W. Brytanii bolesny, klęskowy, niemal katastrofalny.

Przede wszystkim z reguły wojna jest niespodzianką dla Anglików. Jest rzeczą dość ludzką, że się nie wierzy w to, czego się nie lubi. Anglik zaś wojny nie lubi. Umie, gdy trzeba, walczyć, potrafi zdobyć się na wspaniałe wyczyny wojenne, ale nigdy w wojennym rzemiośle nie zasmakuje. I dlatego społeczeństwo angielskie zawsze odsuwa od siebie myśl, że może być wojna, zawsze wierzy tym swym mężom stanu, którzy mu obiecują, że będzie pokój, a tych, którzy ostrzegają o grożącym niebezpieczeństwie, uważa za nieprzyjemnych pesymistów, którzy bez powodu zakłócają pokojową sielankę angielskiego życia. A to tym bardziej, że ci którzy obiecują pokój, jednocześnie redukują podatki, podczas gdy ci, co przepowiadają wojnę, chcieliby o zgrozo,—ich powiększenia.

Czy trzeba przykładów? W sierpniu 1791 Grenville oświadcza, że oczekuje długiego okresu pokoju i bezprzykładnego dobrobytu. W lutym 1792 nawet genialny Pitt przepowiada 15 lat pokoju i . . . zmniejsza budżet armii i marynarki. Rok później zaczyna się wojna . . .

Zupełnie tak samo w roku 1933 szef sztabu imperialnego oświadcza, że "nie zanosi się na użycie armii w wielkiej wojnie europejskiej w ciągu wielu lat"; liczni współcześni mężowie stanu przepowiadali, że nie będzie wojny "za naszego życia."

Nie wierząc w wojnę, Anglicy nie myślą też zazwyczaj, by się do niej przygotowywać. "Ministrowie, którzy spodziewali się uniknąć kryzysu w drodze rokowań znaleźli się po uszy w wojnie w chwili, gdy dopiero zaczynaliśmy się do niej przygotowywać." To zdanie, które wydaje się fragmentem historii 1939 roku, dotyczy roku . . . 1793.

Ba, nawet gdy wojna się zaczyna, nie od razu następuje przebudzenie. "Rozpoczęliśmy, zanim mogliśmy bronić, zaniedbaliśmy, po rozpoczęciu"—Kto to powiedział? Churchill—Nie, Pitt starszy w 1756 roku.

To nieprzygotowanie do wojny jest zresztą tylko częściowe. Dotyczy ono mianowicie tylko sił lądowych. Flota, przez długie stulecia podstawa potęgi brytyjskiej, jest niemal zawsze gotowa. Niegotowe są armie do walki na kontynencie.

Gotowa flota — niegotowa armia: oto sedno zagadnienia na początku każdej angielskiej wojny. Źródłem tego stanu rzeczy jest wiecznie dyskutowany i wiecznie nierozstrzygnięty spór na temat, jaka powinna być strategia brytyjska, spór pomiędzy entuzjastami "*sea-power,*" a wyznawcami szkoły kontynentalnej.

Czy w wojnie o sukcesję hiszpańską, czy następnie w wojnie o sukcesję austrjacką, w wojnie siedmioletniej i w wojnach napoleońskich aż po wojny roku 1760: "Niech wielkie armie maszerują od Renu aż po Dunaj, niech rabują wszystkie miasta od Mannheim do Belgradu wszystko to razem nie wybuduje im jednej fregaty dla zagrożenia naszym wybrzeżom." Dla zwolenników tego poglądu uchodzi za pewnik że W. Brytania nie powinna prowadzić wojen na kontynencie, a jej pomoc dla aliantów powinna polegać na dywersji w stosunku do wspólnego wroga, na przecinaniu jego połączeń morskich i blokowaniu jego handlu.

Ale tezie tej od 200 lat z górą przeciwstawia się pogląd inny. Ujął to dosadnie Walpole w roku 1740, mówiąc: "Nie możemy się spodziewać, że za pomocą samej tylko floty zmusimy ich (Hiszpanów) do pokoju. Musimy zaatakować ich w jakimś punkcie na lądzie i w tym celu musimy mieć dostateczne siły lądowe."

Nie było bodaj wojny, w toku której nie dyskutowanoby tej sprawy. W praktyce zresztą prędzej czy później dochodziło do pewnego kompromisu. Wojna morska prowadzona była na równi z wojną na kontynencie i dopiero skombinowane wysiłki dawały wynik dodatni.

Trudno jednak było dla W. Brytanii z góry, stale być przygotowaną jednako do wojny na morzu i na kontynencie. Posiadać i najpotężniejszą flotę i armię, mogącą się równać z potężnymi armiami kontynentu —na to nie byłoby stać nawet bogatej Anglii. Trzeba było wybierać. Kontynentalne państwa wybierały z reguły armię. W. Brytania, potęga wyspiarska, mocarstwo morskie—musiała wybierać flotę.

I nazajutrz po każdej wojnie rozpuszczano wojska. Nawet wielomilionowa armia roku 1918 stopniała w mgnieniu oka. Pobór jak wiadomo—nie był w Anglii nigdy praktykowany. W poprzedniej wojnie dopiero w roku 1916 zdecydowano się na przymusową służbę wojskową, a wprowadzenie jej na wiosnę 1939 roku na parę miesięcy przed wybuchem wojny, jeszcze w czasach "pokojowych," było wydarzeniem z punktu widzenia tradycji brytyjskiej, rewolucyjnym . . .

Nic więc dziwnego, że wybuch wojny zawsze zastawał W. Brytanię całkowicie nieprzygotowaną do operacji na kontynencie, czyli w decydującym teatrze działań wojennych. W najlepszym razie jest pod ręką niewielki korpus ekspedycyjny, który nie może zazwyczaj zaważyć na sytuacji. Toteż w pierwszym czy drugim roku wojny z reguły jest jakaś "szczęśliwa ewakuacja," jakiś "cud Dunkierki." Ba, zdarzyć się może, że zanim odrobione zostaną braki i zaniedbania, zanim stworzona zostanie armia zdolna zaważyć na szali wojny —a takiej armii zaimprowizować nie można—zanim wreszcie powolne w swym działaniu operacje na morzu mogą dać jakikolwiek wynik—Anglia zostaje mniej lub więcej całkowicie wyparta z kontynentu.

Ale to, co było by zabójcze dla każdego państwa kontynentalnego, które drogo zapłaciło by za taki stan nieprzygotowania, jest do zniesienia dla wyspiarskiej Anglii. Dopóki czuwa nad nią flota, dopóki jej własne terytorium jest zabezpieczone przed inwazją, może "przegrywać wszystkie bitwy" na kontynencie, a jednak w końcu wygrać wojnę. Wyspiarskie położenie i panowanie na morzu, jak również ogromne zasoby materialne pozwalają znieść wiele ciosów i tymczasem przygotowywać siły lądowe do ostatecznej rozprawy.

Tak było przez stulecia. Czy jest tak i dzisiaj? Lotnictwo wprowadziło czynnik nowy, decydujący. Panowanie na morzu już nie wystarcza dla zabezpieczenia bazy, nie mówiąc o decydującym zwycięstwie. Nieodzowne staje się zdobycie panowania w powietrzu.

Z tego wszyscy Anglicy zdają sobie sprawę. Tradycyjne szkoły strategiczne skorygowały swoje poglądy. Dawni głosiciele "wojny morskiej" dziś mówią "zwyciężymy przez skombinowaną potęgę morską i lotniczą." Ich tradycyjni przeciwnicy ze szkoły "kontynentanej" odpowiadają: "samymi bombardowaniami tak samo nie osiągnie się ostatecznego zwycięstwa, jak samą blokadą; w odpowiedniej chwili trzeba będzie, wykorzystując przewagę lotniczą i morską zadać decydujące uderzenie na lądzie." Jedni i drudzy są zgodni co do konieczności władania w przestworzach.

Pewno, że W. Brytania wygra tę wojnę nie dlatego, że "zawsze wygrywa ostatnią bitwę." Zwycięstwo wymagać będzie jeszcze ogromnych, niemal nadludzkich wysiłków. Ale tak, jak we wszystkich poprzednich swych wojnach stać jest i dziś W. Brytanię na długą, nieprzerwaną niemal serię niepowodzeń i klęsk i wygranie dopiero ostatniej bitwy.

Jeśli naród brytyjski jest dziś tak spokojny, jeśli nie mogą go złamać żadne klęski i nic nie jest w stanie podważyć jego niezachwianej wiary w zwycięstwo, to jest w tym duża zasługa znajomości własnej historii. Brytyjczycy wiedzą że . . . wszystko to już było: i ich własne nieprzygotowanie i zaskoczenia przez przeciwnika, i zawojowanie przezeń całego kontynentu i długie serie porażek. Wiedzą też, że mimo wszystko byli w stanie w końcu zwyciężyć. Ta wojna jest nowa w swej technice, ale nie w swym charakterze ogólnym.

Zapewne przegra jeszcze W. Brytania niejedną bitwę, niejedną kampanię. Ale pomna swej historii nie straci z tego powodu ani wiary, ani woli zwycięstwa w "bitwie ostatniej."

Aleksander Boray

Po powrocie Naczelnego Wodza

Generał Władysław Sikorski jest znowu z nami. Pierwsze jego kroki na wolnej i walczącej ziemi brytyjskiej były skierowane w stronę wojska, pierwsze słowa, jakie wypowiedział po trudnej, niebezpiecznej a doniosłej podróży na drugą półkulę były zwrócone do żołnierzy. Jesteśmy z tego dumni, jesteśmy wdzięczni—za zaufanie, za solidarność Wodza z Armią.

Ale ta nasza duma żołnierska—prosta i czysta—nie jest w tej chwili najważniejsza. Wszyscy ilu nas jest, śledziliśmy z natężeniem, nadsłuchiwaliśmy przez ocean skłócony bezpardonową wojną odgłosów tych odwiedzin. Wszyscy ilu nas jest, zdawaliśmy sobie sprawę z trudu, z niebezpieczeństwa i—z historycznej ważności tego faktu, że Premier Rządu Rzeczypospolitej i Wódz Naczelny Jej Armii osobiście rozmawia z wielomilionową Polonią Amerykańską, z prezydentem Stanów Zjednoczonych, z rządem Dominium Kanady. Wszyscy ilu nas jest, widzimy już dziś jasno znaczenie tej podróży. Zanim będziemy się tu mogli bardziej szczegółowo rozwieść nad jej przebiegiem, nad jej wynikami doraźnymi i jej perspektywami—chcemy krótko ująć to, co się dokonało w ciągu kilku tygodni, przez które generał Władysław Sikorski nie był z nami.

Pierwszy raz od czasu klęski wrześniowej—głośno było o Polsce po drugiej stronie Oceanu. Pierwszy raz przez usta Człowieka, który dźwiga najwyższą odpowiedzialność Ameryka usłyszała, że Polska nie tylko nie ustała w walce, nie tylko walczy ale szuka sposobu rozszerzenia rozmiarów tej walki, pomnożenia środków, sił swoich duchowych i materialnych. W momencie kiedy łamał się front bałkański miało to wymowę ogromną.

Pierwszy też raz od klęski wrześniowej Polonia Amerykańska, dla której ta klęska była straszliwym ciosem, godzącym w obraz dalekiej tęsknoty i trudnej wierności—uświadomiła sobie w pełni niezdjęty z niej obowiązek wierności i wiary. "Realny i aktywny udział Polski w walce z Hitlerem oto stały i prowadzący motyw powtarzany w czasie mego pobytu w Ameryce"—mówił Naczelny Wódz po powrocie. Polacy Amerykańscy zrozumieli, że mimo klęski nie mają powodu wstydzić się, zarzekać kraju, który się nie ugiął i nie ugnie, który jest najbliższym sojusznikiem Wielkiej Brytanii, który z Wielką Brytanią trwa na pierwszej linii obrony kontynentu amerykańskiego, na ostatniej reducie kultury europejskiej.

Polacy Amerykańscy mogli stwierdzić, że Polska przedstawia wartość realną dla Europy, dla Ameryki, dla świata. Czytali o deklaracji wzajemnej pomocy i przyjaźni podpisanej przez Generała Sikorskiego z rządem kanadyjskim, która zmienia zasadniczo stosunek tego rządu do sprawy polskiej. Nie mogli nie wiedzieć, że prezydent Roosevelt oświadczył gotowość pomocy, z jakiej korzystają demokracje walczące, że w prawie do tej pomocy przyznał nam pierwsze miejsce po Wielkiej Brytanii. Nie mogli na koniec nie widzieć świadectw uznania, podziwu, solidarności, jakie dawały emigracje innych narodów: czeska, norweska, belgijska, holenderska i grecka. Nie mogli nie doceniać odruchu Litwinów, którzy—pod wpływem tej wizyty—przystąpili do tworzenia komitetu polsko-litewskiego, otwierającego drogę do zgodnej współpracy.

Należało się to wszystko Polakom Amerykańskim. Ale to wszystko ma także dla nas wagę nieocenioną, równającą się chyba tylko jednej sprawie—oporowi chwilowo ujarzmionego kraju. "Polonia Amerykańska—są słowa Generała—to olbrzym. . . . Jeśli rzuci na szalę Polski walczącej swe siły będzie to mieć znaczenie decydujące dla sprawy. Jestem przekonany, że Polonia da ochotnika w ilości jakiej żądamy od niej w tym roku."

Płynie stąd dla nas żołnierzy pociecha, zachęta i najświętsze zobowiązanie—dla nas uwięzionych na ej wyspie—widzieć z jednej strony naród trwający w walce, w której nie ma właściwie granic ofiary, widzieć na dalekim zaoceanicznym lądzie naród, ten sam, jego potężną rezerwę, odwód nieużyty, gotujący się do tej samej walki.

To jest nasza duma, ta druga, ta inna i ta ważniejsza od tamtej. Za jej doznanie wdzięczni jesteśmy Naczelnemu Wodzowi jeszcze bardziej niż za to, że nam "najbliższym—jak mówił—swemu sercu żołnierzom" dał jej zaznać pierwszym wśród wszystkich Polaków.

Nie jesteśmy pochlebcami. Ale umiemy być wdzięczni i chcemy być godni. Nasze serca żołnierskie są po tym szczęśliwym i ważnym powrocie przy Naczelnym Wodzu, przy Jego pracy i naszej wspólnej z Nim walce o wszystko najbardziej wspólne, o wszystko najdroższe.

Aleksander Janowski

POLSKA 1940

X.—Niemiecka propaganda*

Systematycznej propagandy celem pozyskania sobie Polaków Niemcy w r. 1940 właściwie nie rozwijali. Uznali, że jest to bezowocne. Jedynie tylko w związku z możliwością uderzenia na Rosję pojawiały się w niektórych mózgach niemieckich mgliste plany wyzyskania Polaków w ewentualnej kampanii. W lipcu 1940r., gdy z Francji przerzucono duże masy wojska na wschód, rozeszły się pogłoski, jakoby niektórzy landratowie już zapowiadali, iż Polacy będą mogli tworzyć legiony przeciw Rosji. Skończyło się na pogłoskach, które zresztą nie wywoływały w kołach polskich żadnego wrażenia. Społeczeństwo rozumiało doskonale tę prawdę, że i Hitler i Stalin są śmiertelnymi wrogami Polski.

Propaganda niemiecka ma więc na celu nie tyle pozyskanie Polaków, ile raczej usprawiedliwienie zarządzeń władz okupacyjnych oraz wzbudzenie przekonania, że nadzieje odzyskania wolności są nierealne. "Nie wymagamy—pisał raz p. Zarske w "Krakauer Zeitung" — by Polacy rzucali się nam na szyję, ale powinien przecież zwyciężyć realizm polityczny, liczący się z faktami."

Do tego realizmu najczęściej apeluje propaganda niemiecka. Raz się już Niemcom wydawało, że ten rzekomy realizm zwycięża. Bezpośrednio po załamaniu się Francji jeden z korespondentów "Krakauer Zeitung" napisał, że teraz już nawet Polacy przestali wierzyć w zwycięstwo koalicji, a kto zna Polaków, ten wie, że to bardzo dużo znaczy. Była to nieprawda. Społeczeństwo polskie w odzyskanie wolności wierzyć nie przestało i byłoby rzeczą wręcz śmieszną /a zarazem dla cierpiącego społeczeństwa obraźliwą/ w ogóle zastanawiać się nad możliwością, czy okupanci mogą sobie naród polski pozyskać. Od swych ideałów, od swych głównych dążeń, społeczeństwo nie odstąpi i tu propaganda niemiecka będzie bezowocna.

Nie jest natomiast wykluczone, że propaganda ta mogłaby w niektórych kołach polskich zniekształcić np. obraz niedawnej przeszłości albo pogłębić antagonizmy między Polakami a Żydami lub Ukraińcami. Na szczęście masy są na ogół bardzo odporne, Niemcom nikt nie wierzy, ostatecznie jednak jest rzeczą możliwą, że ten i ów, czytając ciągle jak to w Polsce wszystko było nieudolne, ciemne, skorumpowane, mógłby w końcu dojść do wniosku, że zdolności państwowo - twórcze naszego narodu są bardzo ograniczone.

Pisze się więc w prasie gadzinowej bardzo często o tym, jak to powoływano niefachowych ministrów, jak kradli grosz publiczny dygnitarze, jaka demoralizacja panowała w kołach kierowniczych. W "Nowym Kurierze Warszawskim" wydrukowano szereg artykułów na ten temat. Wymieniano nazwiska, podawano cyfry, przy czym nie da się zaprzeczyć, że niektóre szczegóły były prawdziwe. Redakcja drukowała następnie listy czytelników w tej sprawie. Trudno odgadnąć, które były sfingowane. Ale niektóre listy pochodziły zapewne od czytelników polskich, bo potępiały nie decyzję odrzucenia żądań niemieckich, lecz nieprzygotowanie kraju i armii do wojny. Krytykowano fakt udzielania zezwoleń na wywóz broni z Polski, brak należycie opracowanych planów wojennych etc. Widać było, że autorowie tych listów ubolewają nie nad tym, że z Niemcami walczono, lecz że ich nie pobito. Taka reakcja nie mogła naturalnie zachęcać Niemców do dalszego prowadzenia propagandy. Warto też podkreślić, że ich agenci występowali nie pod własnym nazwiskiem /może niemieckim?/, lecz używali różnych pseudonimów, jak "Zrąb" lub "Brochwicz."

Więcej starań dołożyli Niemcy, by osiągnąć inny, znacznie skromniejszy cel, a mianowicie nakłonić Polaków do wyjazdu na roboty rolne do Niemiec. Na wiosnę 1940r. pojawiły się w wielu miejscowościach barwne plakaty, przedstawiające na tle łanów zboża grupę uśmiechniętych, zadowolonych żniwiarzy. Napis zachęcał: "Jedźmy na roboty do Niemiec!" Ale musieli też Niemcy drukować także inne afisze, bo już szeroko rozchodziły się wieści, że robotnicy polscy giną od bomb francuskich i angielskich. Więc ten i ów landrat drukował obwieszczenia, żeby nie wierzyć plotkom, bo robotnicy polscy w Niemczech mają się dobrze, pracują poza frontem, a jeśli widzieli gdzieś Anglika lub Francuza, to chyba jako jeńca. Było rzekomo wykluczone, by lotnicy angielscy i francuscy mogli bombardawać miasta w głębi Niemiec. W drugiej połowie 1940r. takich butnych oświadczeń już oczywiście nie było.

O rządzie polskim i emigracji walczącej propaganda niemiecka woli milczeć. Jeśli jednak mówi o tym cały świat, jeśli jakiś fakt jest zbyt głośny, by go można ukryć, wtedy propaganda niemiecka pieni się z wściekłości. Zasadniczo jednak prasa gadzinowa /"Goniec Krakowski," "Nowy Kurier Warszawski," "Siew," etc./ o rządzie gen. Sikorskiego i o armii polskiej milczy. Jeśli o czym czasem pisano, to o stosunkach wśród uchodźców w Rumunii i na Węgrzech, o szastaniu pieniędzmi przez tych, którzy wywieźli pieniądze z Polski, o protekcjoniźmie, o zupełnym rzekomo braku opieki nad zwykłym, przeciętnym uchodźcą. To znowu miało Polaków zniechęcić do przekradania się na Węgry, a stamtąd dalej, do armii polskiej.

O stronnictwach polskich i ich dążeniach w stosunku do Niemiec nie pisze się prawie nic. Jest to zrozumiałe, bo nie było i nie ma obozu, na, którym hitlerowcy mogliby oprzeć swe rządy. Zresztą Niemcy stoją na stanowisku, że wszelkie stronnictwa, wybory, parlamenty, swobody demokratyczne—to przeżytki, którymi nie warto się zajmować. Podobnie jak Niemcy, tak i Gen. Gubernatorstwo ma być rządzone wolą jednego człowieka, Hitlera, a ludzie przez niego powołani mają rozkazywać Polakom bez względu na ich zapatrywania.

Rządy niemieckie mają być—taka jest teza propagandy niemieckiej—szczególnie korzystne dla polskich robotników i chłopów. Te warstwy były rzekomo uciskane pod rządami polskimi, a dopiero pod opieką niemiecką znajdą dobre warunki pracy i spokojnej egzystencji. Na przeszkodzie temu stoi polska inteligencja, która jest zbyt liczna, rozpróżniaczona i podsyca nastroje antyniemieckie. Ta inteligencja zatem musi być, jak to oświadczył p. Frank, bacznie nadzorowana i skrępowana w swej działalności. To samo odnosi się do kleru, który ma się ograniczyć do nabożeństw, a nie mieszać się do polityki.

O ile za ubóstwo kraju miały ponosić odpowiedzialność polskie rządy, o tyle znowu kłopoty aprowizacyjne miały być winą Żydów. Ich oskarża propaganda niemiecka o ukrywanie towarów i podnoszenie cen. Dalej wywiezienie pieniędzy przez "polskich rządców," zniszczenie miast spowodowane "bezmyślnym, zbrodniczym oporem" /np.w Warszawie/, oto dalsze przyczyny braków i trudności, które oczywiście znikną zupełnie, gdy skończy się wojna i Niemcy będą mogły w całej pełni prowadzić swą "twórczą" pracę.

Już teraz zresztą rozpisuje się propaganda niemiecka o tym, ile to Niemcy zbudowali. Bez skrupułów zalicza się na rachunek niemiecki to wszystko, co już za czasów polskich było rozpoczęte lub nawet bliskie ukończenia. A więc w jednym mieście chwalą się Niemcy nową rzeźnią, w innym — szpitalem, gdzie indziej przywłaszczają sobie zasługę wybrukowania ulicy lub przedłużenia linii tramwajowej, zupełnie nie dbając o to, że te roboty były za czasów polskich daleko posunięte. Zapewne i Rożnów będzie za parę miesięcy figurował jako "dzieło techniki niemieckiej."

Jeszcze większą zaborczość przejawia propaganda niemiecka, gdy chodzi o przeszłość. Co tylko w dziejach Polski jest wielkiego, to wszystko jest dziełem Niemców. Ekspansja za pierwszych Piastów — oczywiście tłumaczy się tym, że Mieszko i Bolesław Chrobry mieli w żyłach krew germańską. Później gdy ta bezcenna krew germańskich zdobywców rozpłynęła się w morzu słowiańskim, przyszły dla Polski gorsze czasy. Potem jednak zaczęła się kolonizacja niemiecka i znowu, poucza propaganda niemiecka, wspaniale rozwinęły się miasta polskie, powstał niemiecki uniwersytet w Krakowie etc. Jeszcze raz powtórzył się okres zmierzchu, wszystko zaczęło upadać i jeśli w tej epoce powstało coś wartościowego, np. pałace i kościoły w Warszawie, to oczywiście dzięki Niemcowi, Augustowi II. Potem nareszcie przyszedł dłuższy okres zupełnie nieskrępowanej pracy Niemców, którzy w zaborze pruskim i austriackim znów dokonali cudów na polu kultury i gospodarki. Niestety, narzekają pisarze hitlerowscy, ówczesne rządy niemieckie były zbyt sentymentalne, zbyt łagodne, to też Polacy robili postępy i w r.1914 byli na Pomorzu silniejsi niż w r.1772, w chwili zajmowania tego kraju przez Prusy.

Teraz więc nie może być żadnej pobłażliwości. Raz za razem powtarza prasa niemiecka, że nie wolno wierzyć w lojalność Polaków, że są oni wrogami niemczyzny i mają na sumieniu rozliczne zbrodnie. Największy rozgłos nadano wypadkom w Bydgoszczy. W rocznicę "krwawej niedzieli," jak to nazwała propaganda niemiecka, urządzono znowu żałobne uroczystości, w niektórych powiatach zorganizowano marsze śladem wędrówki Niemców, konwojowanych w głąb Polski. Jeśli jakiegoś przestępstwa dopuści się Polak, pisma niemieckie na Pomorzu i w "Warthegau" podkreślają to z naciskiem. Chodzi o utrwalenie przekonania, że Polacy to rasa niższa, wydająca szczególnie duży procent złodziei, bandytów, oszustów.

Cała ta perfidna, ohydna propaganda nie jest w stanie złamać ducha mas polskich. Niemcy zdają sobie sprawę z tego i może z tej przyczyny wyroki na Polaków ogłaszane są otwarcie w pismach. Oczywiście nie ujawnia się wszystkich gwałtów Gestapo, a represje są zawsze ubrane w szatę prawa i "usprawiedliwione" rzekomymi przestępstwami Polaków. Ogłasza się jednak wyroki najbardziej charakterystyczne. Mają one dodać otuchy kolonistom niemieckim, napełnić ich przekonaniem, że każda zniewaga im wyrządzona będzie surowo pomszczona, Polaków zaś mają te wyroki zupełnie steroryzować. Wyroki są potworne. Kara śmierci grozi za słuchanie radia, wieloletnie ciężkie więzienie za rozszerzanie "niepokojących pogłosek" lub śpiewanie hymnu narodowego. Za posiadanie broni wymierzana jest zawsze kara śmierci.

Otóż te wyroki są tak liczne, tak często donoszą pisma poznańskie i pomorskie o "bezczelności" Polaków, o śpiewaniu przez nich pieśni polskich, iż nie ulega najmniejszej wątpliwości, że duch wśród Polaków jest doskonały. Niemiecka propaganda stawia sobie cele tak niemożliwe do osiągnięcia, tak sprzeczne z prawdą i z biegiem życia, iż oczywiście skazana jest na niepowodzenie. Może czasem zamącić w głowie obcym turystom szwedzkim, fińskim lub nawet amerykańskim dziennikarzom, ale nie odwiedzie Polaków od walki o wolność i potęgę Polski.

Stanisław Zatorski

* Por. poprzednie artykuły cyklu: "I. Jak się po niej podróżuje," druk. w nr. 5. "II. Co się widzi z okna pociągu i na ulicy," druk. w nr. 7; "III. Co myśli i czuje społeczeństwo pod okupacją," druk. w nr. 8; "IV. Warunki zarobkowe i aprowizacyjne," druk. w nr. 9; "V. Stosunek do okupantów," druk. w nr. 10; "VI. Stosunki narodowościowe," druk. w. nr. 13; "VII. Masa chłopska wobec najeźdźcy," druk. w nr. 15-16; "VIII. Kolonizacja niemiecka," druk. w nr. 19; "IX. Sprawy kulturalne," —druk. w nr. 20. Dzisiejszym artykułem zamykamy ten cykl.

Gdynia pod okupacją niemiecką*

Martyrologia Polaków z Gdańska

Gdy Niemcy okupowali Gdynię, rozpoczęli przede wszystkim poszukiwania Polaków z Gdańska, którzy w przeddzień wybuchu wojny schronili się w Gdyni, a po zajęciu miasta przez najeźdźców znaleźli się również w gdyńskich "obozach koncentracyjnych."

Los tych nieszczęsnych ludzi był bodaj najgorszy. Jedyną ich "zbrodnią" była praca dla Polski i odważne manifestowanie swego patriotyzmu wśród rozbestwionej tłuszczy gdańskich narodowych socjalistów.

Co z nimi zrobiono—tego dziś jeszcze dobrze nie wiemy. Mieliśmy konkretne wiadomości o losie tylko kilkunastu działaczy polskich z Gdańska, którzy swą pracę na terenie Wolnego Miasta przypłacili śmiercią. Los większości jednak jest nadal nieznany. Gdy byłem jeszcze w Gdyni, wielu więziono w podziemiach gdyńskiego Sądu Okręgowego oraz w Etapie Emigracyjnym. Później przepadli bez wieści. . . .

Wielu innych Polaków gdańskich—zresztą razem z obywatelami Gdyni—zapędzono pieszo na teren Wolnego Miasta. Gdy nieszczęsnych więźniów prowadzono przez ulice Gdańska, hitlerowcy obrzucali ich kamieniami, opluwali. . . .

Opowiadano mi, iż w czasie tego męczeńskiego przemarszu więźniów polskich pomiędzy rozbestwioną tłuszczą gdańską, znalazła się pewna staruszka—obywatelka gdańska niemieckiego pochodzenia—która zaprotestowała przeciw temu rozwydrzeniu. Przypłaciła to życiem, młodzież hitlerowska bowiem, nie bacząc na jej 60 lat, tak ją obiła laskami za to, że okazała nie-germańską słabość, iż kobieta na skutek otrzymanych uderzeń zmarła później w szpitalu. Rzeczywiście — nie niemieckie musiało być serce zabitej.

Tę grupę więźniów, wśród której znalazła się także spora liczba księży i zakonników, porozmieszczano po rozmaitych stajniach, oborach i chlewach (dosłownie!) i używano do różnych robót, m. in. do czyszczenia ulic gdańskich. Część osadzono na Westerplatte, gdzie więźniom kazano usuwać gruzy —ślady bohaterskiej obrony załogi polskiej. W czasie tych prac kilkunastu więźniów zginęło przy usuwaniu niewypałów artyleryjskich i lotniczych, które wzruszone przez niefachowców eksplodowały. . . .

Nie mniej tragiczny od losu Polaków gdańskich był los t. zw. "zakładników gdyńskich." Krótko po wkroczeniu wojsk niemieckich do Gdyni zostali oni wybrani w liczbie około 150 z pośród czołowych obywateli miasta. W rękach okupantów mieli oni być gwarancją spokoju w mieście. Na wypadek naruszenia przez Polaków ustanowionego przez Niemców nowego porządku, wszystkim zakładnikom groziło rozstrzelanie. Co zaś należało uważać za "wypadek naruszenia ustanowionego niemieckiego porządku"—o tym wiedzieli tylko okupanci. Nic więc dziwnego, iż zakładnicy żyli pod stałą grozą śmierci. Byle kaprys nowych rządców mógł zadecydować o ich życiu. . . .

Życie to toczyło się w stosunkowo znośnych warunkach, dopóki rządy w mieście sprawowało wojsko. Wprawdzie zakładnicy cierpieli niewygody, osadzono ich bowiem w sali kawiarnianej "Cukierni Poznańskiej" przy Skwerze Kościuszki, gdzie musieli spać na podłodze, krzesłach lub stołach, ale za to w okresie tym mogli się porozumiewać niemal bez żadnych ograniczeń z całym miastem. Głodu nie cierpieli, Gdynianie bowiem otoczyli ich specjalnie serdeczną opieką. Straż Obywatelska, Polski Czerwony Krzyż i poszczególne jednostki dostarczały zakładnikom wszystkiego, czym jeszcze dysponowały.

W dniu 25 września wszystkich zakładników niespodzianie zwolniono. Wprawdzie zatrzymano jeszcze dwóch—znanego polskiego adwokata z Gdańska i jego brata, o których upomniała się gdańska Gestapo—tym nie mniej nastąpiło pewne odprężenie. Wydało się, że najgorsze minęło.

Ale to było tylko złudzenie. Zakładnicy zostali zwolnieni przez władze wojskowe, które opuszczały miasto, lecz rządy pozostawiły w rękach . . . Gestapo.

Jasne było, że teraz dopiero zacznie szaleć teror. Tak też było. Przede wszystkim więc Gestapo przywróciła instytucję zakładników. I o ile wojsko poprzednio jako zakładników zatrzymało tych wszystkich, którzy mu wpadli w ręce, o tyle tajna policja z góry przygotowała sobie długą listę zakładników, umieszczając na niej wszystkich najruchliwszych i najbardziej—jej zdaniem — niebezpiecznych dla Niemców działaczy politycznych, społecznych i gospodarczych, a więc wszystkich wyższych urzędników Komisariatu Rządu i Urzędu Morskiego, członków Rady Portu, kierowników sądów, sędziów, prokuratorów, dyrektorów banków, księży, najpoważniejszych kupców, a w pierwszym rzędzie wszystkich czołowych działaczy Instytutu Bałtyckiego i Polskiego Związku Zachodniego, z którymi obiecywano specjalnie się rozprawić za mówienie światu prawdy o Niemczech i Niemcach.

Aresztowanie nowych zakładników rozpoczęło się w dniu 26 września wieczorem i trwało do następnego dnia rano. Szereg znajdujących się na liście działaczy zdołano w porę uprzedzić, tak, że mogli się ukryć, a później ukradkiem opuścić miasto. Większość jednak, która zwolniona niedawno z aresztu niczego nie podejrzewała, wpadła znów w łapy agentów "Gestapo." Tym razem zatrzymano ponad 250 osób. Wszystkich osadzono w Etapie Emigracyjnym, nie pozwalając absolutnie komunikować się z kimkolwiek w mieście.

Swego czasu świat obiegła wiadomość, iż w dniu 9 listopada 1939 r. wszyscy zakładnicy gdyńscy zostali rozstrzelani. Podawano nawet wiele nazwisk. Tymczasem w czasie mej ostatniej bytności w Warszawie z końcem marca ubiegłego roku zdołałem stwierdzić, iż kilku z pośród rzekomo rozstrzelanych . . . żyje.

Odnośnie ponurego mordu z dnia 9 listopada 1939r. uzyskano tylko potwierdzenie wiadomości o rozstrzelaniu 16 uczniów szkół gdyńskich za to, iż jeden z nich miał rzekomo rzucić kamieniem w posterunek policji niemieckiej oraz wiadomości o wykonaniu około 30 wyroków śmierci na tych z pośród zakładników, którym "udowodniono przestępstwa przeciw państwu i narodowi niemieckiemu."

Nie wiadomo było wprawdzie gdzie i w jakich warunkach przebywają pozostali zakładnicy gdańscy, gdyż nie wolno im było absolutnie z kimkolwiek się porozumiewać. Nawet ich rodzinom odmawiano wszelkich informacyj. W każdym razie jednak—według danych z marca 1940r. — większość zakładników żyła.

Wiesław Waligórski

* Por. tegoż autora: "Z kampanii wrześniowej—obrona Gdyni i Oksywia," druk. w nr. 6 oraz pierwsze artykuły tego cyklu: "Obozy koncentracyjne," druk. w nr. 18 i "W szponach Gestapo" druk. w nr. 20 "Polski Walczącej."

Mowy Churchilla



1914: *Churchill przemawia na meetingu*

W roku 43 a.C. Cicero przemawia w Senacie: "O szczęśliwa śmierci, należna naturze, jednak złożona w ofierze ojczyźnie. Zaprawdę uważam was jako urodzonych dla ojczyzny. Imię wasze bierzecie z Marsa, tak iż wydaje się, że ten sam bóg stworzył to miasto dla świata i was dla tego miasta . . . Odparliście od miasta szalonego Antoniusza . . . powinien być wam zatem wystawiony pomnik wspaniałego dłuta i napis wyryty jako wieczne świadectwo waszej nadludzkiej zasługi. I nie powinien zamilknąć głos najgłębszej wdzięczności dla waszej chwały, gdy ludzie oglądać będą ten pomnik lub bodaj tylko o nim usłyszą. I tak składając w ofierze śmiertelne życie, zdobyliście sobie nieśmiertelność."

W dwa tysiące lat później Churchill przemawia w Izbie Gmin: "Wdzięczność każdego mieszkańca tej wyspy, naszego Imperium i zaprawdę wszystkich ludzi na świecie—za wyjątkiem winnych—należna jest lotnikom brytyjskim, którzy nie bacząc na przewagę wroga, nieznużeni ciągłym niebezpieczeństwem, przeważają losy świata przez swoje mistrzostwo i swoją ofiarność. Nigdy w dziejach świata tak wielu nie zawdzięczało tak wiele tak nielicznym."

Mowy Churchilla wydane obecnie przez jego syna Randolpha p.t. "*Into Battle*"* wytrzymują porównanie z najpierwszymi klasycznymi wzorami. Jego styl jest równy, prosty i przejrzysty. Okresy pełne, bez niedopowiedzeń i chropowatości. (Należy przy tym podkreślić, że mowy te ukazały się w druku bez jakichkolwiek zmian czy wygładzeń, podczas gdy n.p. mowy Cicerona były gładzone i szlifowane z niezwykłą pedanterią przed wydaniem.) Układ przejrzysty, rzeczowy i bez niewspółmiernych dygresji. Każda mowa jest jak gotycka katedra, jednolita w całości i w szczególe. Efekty retoryczne mów polegają głównie na patosie treści. "Nie mam nic do ofiarowania tylko krew, mękę, łzy i znój. Przed nami jest bardzo ciężkie zadanie. Mamy przed sobą wiele długich miesięcy zmagań i cierpień. Zapytujecie,—jaka jest nasza polityka? Odpowiem: Prowadzić wojnę na morzu, lądzie i w powietrzu, całą naszą potęgą i całą siłą jaką Bóg nam dać raczy. Prowadzić wojnę przeciw potwornej tyranii, nieprześcignionej w ciemnym i ponurym spisie ludzkich zbrodni. To jest nasza polityka. Zapytujecie jaki jest nasz cel? Odpowiem jednym słowem: Zwycięstwo, — zwycięstwo za wszelką cenę, zwycięstwo na przekór wszystkim okropnościom, zwycięstwo bez względu na to, jak długa i ciężka będzie droga, bo bez zwycięstwa nie ma dla nas życia."

W tych zdaniach tak podniosłych nie ma ani jednej figury retorycznej. To prawda, że czasy, które przeżywamy i walka, którą toczymy są same w sobie tak pełne wielkiego patosu, że słowa "nie mam nic do ofiarowania tylko krew, mękę, łzy znój," które w zwykłych czasach byłyby przenośnią, dziś są zwięzłym i oschłym stwierdzeniem. Niewątpliwie i to nadaje mowie tej patetyczny charakter,—to suche stwierdzenie prawdy, ale prócz patosu jest w tym zdaniu jakaś iskra Boża, która każe nam słuchać z zapartym oddechem.

Nie pogardza Churchill jednak w mowach swoich figurą poetycką. Przenośnie jego są nieliczne wprawdzie, ale starannie dobrane i umiejscowione. Głównie operuje jednak pointe'ą. Niektóre z nich stały się już przysłowiowe jak wyżej cytowane "Nigdy tak wielu nie było winnych tak wiele tak nielicznym" lub "*Give us the tools and we will finish the job*" (daj nam narzędzia a my wykończymy robotę). Takich "pointe" jest mnóstwo rozsianych w jego mowach. Bardziej lub mniej popułarne, raz poważne, to znów pełne zjadliwej ironii i suchego angielskiego dowcipu. N.p. mówiąc o Belgii i Holandii 12 listopada 1939 r.: "Obu tym państwom dali Nazi ostatnio jak najbardziej uroczyste gwarancje. Nic dziwnego więc, że wielkie panuje przerażenie," lub "Nie wiem czy Hitler wierzy w prawdę cyfr, które ogłosił. Mam nadzieję, że wierzy," lub "Czekamy na oddawna zapowiedzianą inwazję. Ryby także czekają."

Jego ironia jest bezwzględna i zabójcza. Nie tylko w pointe'cie. Była ona niewątpliwie jednym z powodów tej jego niepopularności tak wielkiej, jak jego dzisiejsza popularność. Bo czyż n.p. takie zdanie—a mowa tu o stworzeniu *Ministry of Supply* (Ministerstwo Zaopatrzenia)—nie stwarza wrogów: "Dlaczego mój *Right Hon. Friend* (premier Chamberlain) tak uparcie opiera się temu planowi. To prawda, że naglilem zarówno jego jak i jego poprzedników od dwu lat a może i dłużej, ale to nie jest przecież dostatecznym powodem."



1941: *Churchill przemawia w Parlamencie*

Radio umożliwia dziś każdemu człowiekowi słuchanie historycznych przemówień. To co dawniej było przywilejem bardzo ograniczonej liczby ludzi, stało się dzisiaj własnością mas. Cicero przemawiając w Senacie, mówił do nielicznego grona ludzi stojących na stosunkowo dość wysokim poziomie umysłowym i mających ustalone i przemyślane własne zdanie. Zmuszało to mówcę do większej czujności i do głębszego przemyślenia swych mów, z drugiej jednak strony nie musiał się troszczyć o przejrzystość. Radio przemawiając do mas kusi łatwizną, tanim efektem, demagogią. Przykładem zupełnego zrezygnowania z poziomu na rzecz efektu jest Hitler. Natomiast Churchill —i tu leży jego mistrzostwo— potrafił połączyć wysoki poziom z przystępnym stylem i treścią. "*There is a style because there is a man*" (Jest styl ponieważ jest człowiek), jak pisze o nim J. L. Garvin.

Gdy mowa o radiu nie wolno pominąć dykcji. Ten spokojny, zrównoważony, lecz mimo to pełen wyrazu głos, bez cienia afektacji, brzmi jak muzyka dla naszych uszu zahukanych chrapliwym szczekaniem niemieckich "propagandamacherów." Churchill podkreśla modulacją głosu, intonacją, akcentem a nie krzykiem, jak to czyni opętaniec z Berchtesgaden.

Dominik Szczerbic

* "*Into Battle.*" *Speeches by the Right Hon. Winston S. Churchill, P.C., M.P., Compiled by Randalph S. Churchill, M.P.*

Na życzenie Kolegów przedłużamy termin nadsyłania prac

na konkurs fotograficzny "Polski Walczącej"

do dnia 20 czerwca b.r.

Nagrody pieniężne: I—25 Ł; II—20 Ł; III—15 Ł

Warunki w nr. 15-16 i 18 "Polski Walczącej"

Chmury nad Gibraltarem

Wysoka, samotna skała pokryta różowymi domkami i lasem, w którym małpy—jedyne małpy europejskie — wyprawiają swe harce, oto jak przedstawia się Gibraltar oczom podróżnika. Dziś gwarne zazwyczaj ulice Gibraltaru są puste, za to w londyńskim Kensingtonie rozlega się szybka, nerwowa hiszpańska mowa jego mieszkańcow. Pozostało tam jedynie wojsko, czujnie strzegące tej fortecy, będącej kluczem do Morza Śródziemnego.

Od dwustu lat z górą skała ta będąca zakończeniem iberyjskiego półwyspu jest w ręku Wielkiej Brytanii. Gibraltar razem z Minorką oddany został Anglii w wyniku pokoju Utrechckiego narzuconego przez zwycięską koalicję krajów protestanckich Ludwikowi XIV i Hiszpanii.

Hiszpania wówczas boleśnie odczuła tę stratę. Przez długie lata stosunki hiszpańsko-angielskie pozostały naprężone i w 1727 r. wojna wisiała na włosku. Anglia zaś początkowo niezbyt dbała o swą zdobycz. Król Jerzy I gotów był nawet wymienić Gibraltar na Florydę, kwitnącą kolonię w Ameryce. Do wymiany tej jednak nie doszło i Gibraltar pozostał angielski. W miarę zaś lat Wielka Brytania co raz większą wagę poczęła przywiązywać do posiadania Gibraltaru. O Minorkę nie dbała. Dwa razy ofiarowywała ją Rosji: pierwszy raz Katarzynie II za alians w czasie powstania amerykańskiego, drugi raz Aleksandrowi I w roku 1805. Wreszcie po ukończeniu wojen napoleońskich Minorkę z powrotem przyznano Hiszpanii. Z Gibraltaru jednak żołnierz angielski się nie ruszył.

Ta skała bowiem, skała nie do zdobycia od strony morza gwarantuje Wielkiej Brytanii stanowisko dominujące na Zachodnim Morzu Śródziemnym, pozwala zamknąć to morze dla jakiejkolwiek floty nieprzyjacielskiej. Z chwilą przekopania kanału suezkiego rola Gibraltaru stała się jeszcze bardziej decydująca. Posiadanie jego bowiem pozwala na swobodną komunikację z Indiami. Gibraltar w obcym ręku, w ręku wroga może zmusić wszystkie statki, dążące ze Wschodu do Anglii do o brania drogi okrężnej, o kilka tygodni dłuższej, wzdłuż zachodnich brzegów Afryki.

Gibraltar, jak mówiliśmy, jest nie do zdobycia od morza. Natomiast możność oblężenia i zdobycia go od lądu pozostaje otwarta. Toteż dobre stosunki z Hiszpanią były zawsze jednym z kanonów polityki brytyjskiej. I w ciągu ostatnich dwóch wieków można powiedzieć, że Hiszpanie pogodzili się z posiadaniem Gibraltaru przez Anglików. W każym razie kwestia Gibraltaru nie była kwestią aktualną.

Po załamaniu się Francji stała się aktualna. Prasa hiszpańska zamieszczała gwałtowne artykuły, żądające zwrotu Gibraltaru, w miastach hiszpańskich odbywały się demonstracje antyangielskie, Serrano Suner, szef Falangi, minister spraw wewnętrznych i szwagier jenerała Franco wystąpił otwarcie z żądaniem powrotu Gibraltaru. "Nowa" Hiszpania nie ogranicza się zresztą do tego żądania. Żąda ona stworzenia nowego Imperium hiszpańskiego, zgłasza swe pretensje do Oranu i Algieru.

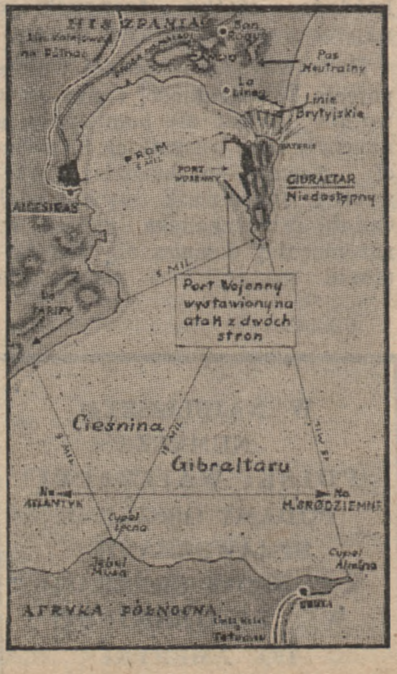
Czemżeż się ta zmiana frontu tłumaczyła? Tłumaczyła się po prostu historią rewolucji hiszpańskiej. Jeżeli Hitler i Mussolini posłali swe wojska dla Hiszpanii przeciwko republikańskiemu rządowi, to nie było to bynajmniej w idealistycznym celu zwalczania "bolszewizmu."

Pomoc udzielona przez Niemcy i Włochy jenerałowi Franco miała zupełnie jasny i określony cel. Szło o stworzenie w Hiszpanii rządu, ściśle związanego z Niemcami i Włochami, rządu, który w przyszłej wojnie europejskiej pomoże dyktaturom do wydarcia Gibraltaru z rąk Anglii. Hiszpańska wojna domowa nie była niczym innym,



Lord Gort, nowomianowany komendant Gibraltaru
rys. Jan Rościszewski (Tom Titt)

jak zajęciem pozycji strategicznych przez Niemcy i Włochy dla przyszłych rozgrywek europejskich.



Gibraltar

Mijały jednak miesiące, a wszystko ograniczało się do co raz gorętszych przemówień Serrano Sunera i co raz ostrzejszych ataków prasy hiszpańskiej, prasy zgleichszaltowanej nie wiele mniej, niż niemiecka i włoska. Hiszpania nadal pozostawała "niewojująca."

Składały się na to różne przyczyny. Przede wszystkim, o ile sądzić można, sam jenerał Franco niebardzo się kwapił do ostatecznego związania się z osią. Hiszpania jest głodna—głodniejsza, niż jakikolwiek inny kraj europejski, a żywność otrzymać może jedynie od Anglii i Ameryki. Hiszpania jest wyczerpana wojną domową—mało komu chce się krwawić na nowo, nawet pod hasłem przywrócenia Hiszpanii tego stanowiska mocarstwowego, które miała w wieku XVII. Wreszcie wejście Hiszpanii do wojny nie tylko może z powrotem rozniecić wojnę domową w kraju, gdzie są jeszcze setki tysięcy więźniów politycznych i gdzie miliony tęsknią za republiką, ale może połączyć republikanów z pewnymi elementami tradycjonalistycznymi w partii rządzącej, które nienawidzą pogańskiego totalizmu niemieckiego. Faszystowska Falanga i katoliccy karliści zostali co prawda mechanicznie połączeni w jedną partię, ale nienawiść wzajemna między nimi trwa nadal. Z tych wszystkich względów wojna jest dla Hiszpanii dużym ryzykiem.

Ale i Hitler niebardzo nalegał. Wystarczało mu, że tej "niewojującej" Hiszpanii pozwolono bez sprzeciwu zająć międzynarodowe miasto Tanger, to jest usadowić się naprzeciwko Gibraltaru, że jemu pozwolono do Tangeru i do Marokka hiszpańskiego posyłać "turystów."

Dalej Hitler ciągle jeszcze grał z Vichy—wejście zaś Hiszpanii do wajny trzeba by było prawdopodobnie okupić Marokkiem francuskim i częścią Algeru, co by bardzo utrudniło rolę Abetzom, Lavalom i im podobnym.

Wreszcie Hiszpania pozwalała mu na dopływ pewnych materiałów wojennych. Ilości nafty np., które Anglia puszczała do Hiszpanii znacznie przewyższały potrzeby Hiszpanii. W roku 40 i 41 odgrywała więc ona tę samą rolę—dziury w blokadzie—którą w 39 i 40 odgrywała Italia Mussoliniego. Londyn zaś tak dalece wierzył w to, że wzmacniając sytuację Franka uda mu się utrzymać neutralność Hiszpanii, że niedawno jeszcze udzielił Hiszpanii kredytu 2 i pół miliona funtów.

Z chwilą, gdy w Libii rozpoczęła się kontrofensywa niemiecka sytuacja uległa dość znacznej zmianie. Do Afryki musi iść dzisiaj, o ile Niemcy chcą zdobyć Egipt, nieprzerwany strumień broni zmechanizowanej. Droga Sycylia-Tripoli jest na to niewystarczająca, szczególnie póki Wielka Brytania panuje na morzu. Trzeba więc otworzyć drogę Gibraltar-Tanger. Trzeba zakorkować Morze Śródziemne od strony zachodniej, zamknąć flotę brytyjską na tym morzu.

Na gen. Franco rozpoczęło się nowy nacisk. I znowu naciskowi temu z całą siłą sekunduje zgleichszaltownaa prasa hiszpańska.

Franco się jeszcze opiera. Ale opór ten może być zlikwidowany w chwili, gdy Hitler tego naprawdę zechce. Franco może być postawiony przed wyborem: albo się poddać, albo odejść.

Atak na Gibraltar jest możliwy. Dlatego też ostatnio dowódcą Gibraltaru został niedawny wódz naczelny armii brytyjskiej-lord Gort.

W wieku XVIII skała Gibraltarska potrafiła się opierać oblężeniu latami. Przez cały wiek XIX uchodziła za fortecę nie do zdobycia. Miejmy nadzieję, że i w wieku XX sławę swą utrzyma.

Michał Prozor

Polsko-czeskie stosunki kulturalne w XIX-ym wieku

III.*

W okresie po r. 1830 czeskie życie narodowe przedstawia się inaczej, niż na początku XIX wieku. To już nie są Czechy, walczące o czeskie słowo pisane, sięgające do źródeł poezji ludowej i przebijające się z trudem z czeskiej wsi do zniemczonych miast. To już są Czechy bojowe, wchodzące do walki politycznej o życie i przyszłość narodu, domagające się co raz śmielej prawa wypowiadania się o swoim losie; to są już Czechy Kollara, Palackiego, Sáfařika, Havlička-Borovskiego.

Kollar reprezentuje w swych poetyckich zrywach słowiańskość Czech i marzy o zbrataniu Słowian. Jego "*Slavy dcera*" ("Córka Sławy") jest pierwszą próbą poetyckiej apoteozy słowiaństwa, a zarazem książką, z której uczą się patriotyzmu całe pokolenia młodzieży czeskiej. Palacky pisze pierwszą naukową krytyczną historię Czech oraz daje narodowi szeroki program polityczny. Šafařik jest uczonym, walczącym o wielkość swego narodu, wskazującym na sławną jego przeszłość. Karel Havlíček-Borovský to pierwszy czeski dziennikarz, polityk i trybun ludu na miarę europejską. Najbardziej też zwalczany i prześladowany przez rząd wiedeński.

Jednocześnie zaczyna się budzić ze snu politycznego Słowacja, rozpoczynając iść w kierunku odrodzenia narodowego pod przewodnictwem Ludovita Štura i jego drużyny. Štur wraz ze swoimi przyjaciółmi—to jakby słowacki Zan i Filomaci. Štur to poeta i historyk, ale zarazem polityk i dziennikarz, typ przywódcy swego stronnictwa.

W tym okresie słabną jednak stosunki polsko-czeskie. Przed powstaniem listopadowym ze strony polskiej interesowała się sprawami czeskimi inteligencja, głównie uniwersytety i instytucje naukowe. Wyrazem tego była stała korespondencja uczonych polskich z budzicielami czeskimi, częste wyjazdy do Pragi, przyznawanie Czechom honorowego członkostwa np. Warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, czy uniwersyteckich odznaczeń honorowych.

Ale po powstaniu wiele się tutaj zmieniło. Wilno i Warszawa przestały być ośrodkami naukowymi, inteligencja polska udała się przeważnie zagranicę. Pociągnęło to za sobą oczywisty upadek życia kulturalnego pod zaborem rosyjskim, tym bardziej, że wszelkie przejawy życia narodowego były surowo tłumione. Pozostały jednak zabory pruski i austriacki. Poznańskie nie utrzymywało wtedy żywszych stosunków z Czechami pomimo pewnego zainteresowania i sympatii. Na niemieckim Śląsku pod tym względem było jeszcze gorzej, a pod zaborem austriackim stosunki polsko-czeskie zaczęły się kształtować w sposób specjalny.

Różnice tutaj występujące wynikały z następujących głównych czynników: odmienny stosunek Wiednia do Czech i Galicji, różna struktura społeczna obydwóch krajów oraz odmienny rozwój linii politycznej obu narodów.

Czechy były w zasadzie połączone z Austrią unią personalną od r. 1621 przy zachowaniu odrębności państwowej. Wiedeń pozbawiał jednak stopniowo Czechów ich praw politycznych, prowadząc jednocześnie systematyczną politykę wynaradawiania. Oczywiście proces odrodzenia narodowego musiał doprowadzić do konfliktu na tym tle, to znaczy Czesi nie domagali się wtedy jeszcze pełnej niepodległości, ale postępowania zgodnego z zasadami unii personalnej. Co prawda w omawianym okresie nie dochodziło jeszcze do tak ostrych zderzeń, jak to miało miejsce w drugiej połowie XIX wieku, ale było już jasne, że do konfliktu politycznego dojść musi.

Galicja natomiast, przyłączona na podstawie rozbiorów, nie miała właściwie uregulowanego stosunku prawno-politycznego do Wiednia w przeciwieństwie do innych ziem monarchii austriacko-węgierskiej. A ponieważ była ona dla monarchii ziemią kresową, nie związaną żadnymi więzami z Wiedniem, wobec tego rząd austriacki starał się zjednać sobie nowo-uzyskany kraj głównie przez popieranie nowej i starej polskiej arystokracji galicyjskiej, ściągając ją na dwór monarszy i obdarzając wysokimi stanowiskami państwowymi.

W takich warunkach stopniowo zaczęła się zarysowywać główna linia podziału pomiędzy społeczeństwem polskim i czeskim, która przetrwała aż do upadku monarchii austriacko-węgierskiej: podczas gdy Czesi byli w nieprzejednanej opozycji wobec Wiednia, nie wysuwając zresztą hasła niepodległości politycznej, ale walcząc o swe prawa jako samodzielnego państwa, związanego z Wiedniem tylko osobą monarchy, to Polacy—polscy arystokraci jako nowi ludzie na dworze tego monarchy—życzliwie przez niego traktowani, stali się wkrótce podporą tronu, zajmując często fotele i teki w cesarsko-królewskich urzędach.

Wiek XIX przestrzegał skrupulatnie znaczenia tytułów arystokratycznych. Galicja zachowała dawne rody arystokratyczne obok tych, które powstały za czasów austriackich. Wiele tych nazwisk rodowych było dobrze znanych na dworze wiedeńskim, a pozostałe miały tam ułatwiony dostęp. Pod względem struktury społecznej i gospodarczej Galicja nie różniła się od struktury Węgier, Austrii, czy państw niemieckich, Czechy natomiast, krystalizując swój ustrój społeczno-gospodarczy, stawały się od razu prototypem ustroju, który zapanował w Europie dopiero po pierwszej wojnie światowej. Od czasu klęski na Białej Górze w 1620 r., kiedy to arystokracja narodowa czeska częściowo wyginęła w boju, częściowo została wymordowana przez zwycięzców lub opuściła kraj, aby zachować życie lub wreszcie pozostała, ale stopniowo straciła swój narodowy charakter, jak np. ród Kinských—Czechy nie posiadały narodowej arystokracji. Proces odrodzenia w XIX w. pod względem socjalnym wymagał więc, aby z najmocniejszego rezerwuaru ludzkiego—czeskiej wsi—ludność czeska stopniowo opanowywała z powrotem miasta, wypierając z nich napływowych Niemców. W taki sposób zaczęto zdobywać zakłady rzemieślnicze, sklepy i zakłady przemysłowe, traktując to jako walkę o przyszłość narodu. Inteligencja czeska wywodziła się więc ze wsi i z miasta, ale nie była to inteligencja rodowa, lecz inteligencja, która zdobywała swoje stanowiska na podstawie osobistego wykształcenia i osiągniętego majątku.

Oczywiście, nie ułatwiało to stanowiska Czechów w Austrii. Ze względu na arystokratyczny ustrój państwowy ci ludzie mogli raczej pracować i agitować wśród swego społeczeństwa, z którego wyszli, nie mając właściwie dostępu na dwór z powodu swego niearystokratycznego pochodzenia. To też dopiero po wprowadzeniu w Austrii systemu wybieranego parlamentu mogli przeprowadzić swą walkę polityczną na wszystkich odcinkach życia państwowego. Z drugiej strony na tle właśnie tych różnic społecznych zaczął się wytwarzać swoisty antagonizm pomiędzy społeczeństwem czeskim i polskim.

Podczas gdy rozwój polskiej myśli politycznej w Galicji szedł raczej w kierunku pogodzenia interesów polskich z polityką dworu austriackiego, to Czesi stanęli przed koniecznością zdobycia się na własną myśl polityczną. niezależną od Wiednia. Czesi zrozumieli, że stosunek unii personalnej z Austrią jest jednak aktem prawnym, do którego już wrócić się nie da i dlatego musieli stworzyć taką myśl polityczną, któraby odpowiadała ich ówczesnym ambicjom narodowym. Tak, jak uprzednio Czesi szukali natchnień do odrodzenia kulturalnego w kulturze, reprezentowanej przez Słowian, a w tym wypadku—przez Polskę, tak teraz zwrócili się do tego samego źródła, gdy przyszło do rozpoczęcia procesu odrodzenia politycznego. Ale cóż, Polska miała wysoką kulturę, lecz nie posiadała bytu państwowego, maleńka Serbia nie przedstawiała wielkiego znaczenia, pozostała więc tylko—Rosja.

Stąd zrodziły się nadzieje, że oparcie o Rosję na tle idei ogólnosłowiańskiej pozwoli Czechom zająć bardziej samodzielne stanowisko w Austro-Węgrzech. Stąd też wywodzi się koncepcja Palackiego utworzenia z Austro-Węgier federacji, w której decydującą przewagę miałyby kraje słowiańskie. Jednocześnie ideologia słowiańska pozwalała Czechom pogodzić swe tradycyjne sympatie dla Polski z życzliwym stosunkiem do Rosji, przy czym Czesi pragnęli szczerze pogodzenia się obu tych wrogów.

W taki sposób drogi Czech i Galicji zaczęły się stopniowo rozchodzić.

Jan Miszewski

* Por. nr. 19 i 20 "Polski Walczącej."

Koleżeństwo broni

Z listu, otrzymanego od jednego z naszych czytelników, który był na stage'u w oddziale czechosłowackim wyjmujemy następujące fragmenty:

. . . "Ustosunkowanie się oficerów do zagadnienia ścisłej współpracy polsko-czeskiej jest całkowicie pozytywne. Przy każdej sposobności podkreślają to szczerze. Nie wspominają o przeszłości stosunków polsko-czeskich, chyba jako o wspólnych błędach, które nie mogą się w przyszłości powtórzyć. "Teraz i na zawsze już musimy trzymać się razem"—oto hasło powtarzane codziennie przez oficerów czeskich w rozmowach ze mną.

. . . Wojskowa propaganda czechosłowacka pracuje pełną parą jeśli chodzi o rozprzestrzenienie wśród wojska idei współpracy polsko-czeskiej. Przy każdej nadającej się sposobności, a często nawet niezależnie od niej drukuje się w gazetkach brygadowych i oddziałowych artykuły na tematy polskie w duchu bardzo serdecznym. Przybycie polskich oficerów na stage, moja wizyta u oficera oświatowego i następnie odjazd nasz po stage'u znalazły oddźwięk w artykułach ogłoszonych w gazetkach brygadowych i oddziałowych. . . .

. . . Muszę podkreślić, że przyjęty i goszczony byłem bardzo serdecznie. Wynajęto dla mnie pokój w hotelu, przy czym za mieszkanie, wyżywienie, a nawet ewentualnie picie, nie pozwolono mi płacić. W kasynie oficerskim . . . Baonu, oraz w bufecie, nie chciano ode mnie brać pieniędzy nawet za papierosy. . . .

Wśród korpusu oficerskiego czułem się bardzo dobrze. W rozmowach z oficerami nie zauważyłem najmniejszej sztywności z ich strony lub skrępowania. Szczerze i otwarcie rozmawiali ze mną, jak gdybyśmy się znali już od bardzo dawna. Krótko mówiąc—od pierwszego dnia do końca czułem się wśród oficerów czeskich, jak wśród bardzo dobrych kolegów."

Wojna na morzu

Bombardowania portów w Wielkiej Brytanii przez Niemców, a portów w Niemczech, w Holandii i we Francji przez Anglików to jeszcze jedna faza nieustającej "Bitwy o Atlantyk." Coraz częściej lotnictwo brytyjskie porzuca dotychczasową taktykę napadów wyłącznie nocnych i próbuje zaskoczeń dziennych, jak dotąd z powodzeniem. Dostało się więc ostatnio i "niemieckiej Malcie" Helgolandowi, na którą to "wyspę-fort," zamykającą dostęp do Elby (Hamburga), bombowce brytyjskie zrobiły nalot wczesnym rankiem zupełnie niespodzianie i po zrobieniu wielu szkód, co sami Niemcy przyznali, powróciły do swojej bazy bez żadnej straty. Sama "Bitwa o Atlantyk" trwa z nieustającym napięciem. Po dłuższej przerwie Admiralicja ogłosiła "listę strat" morskich w miesiącach marcu i kwietniu 1941 r. Taka "dłuższa przerwa" i w ogóle rzadsze publikowanie strat w statkach handlowych, okazało się konieczne ze względu na to, że z komunikatów urzędowych nieprzyjaciel orientował się nie tylko o skuteczności, czy też o nieudałej akcji swoich okrętów podwodnych, ale wyciągał wnioski jaki rodzaj walki jest dla niego w danym momencie najbardziej "wydajny."

Straty więc (według oficjalnego komunikatu Brytyjskiego Ministerstwa Informacji) wynoszą:

	statków	tonn
Statki neutralne		
Marzec	60	228,724
Kwiecień ...	60	293,089
Statki sprzumierzonuch		
Marzec	22	68,194
Kwiecień ...	43	189,473
Statki brutuiskie		
Marzec	3	10,403
Kwiecień ...	3	5,562

Razem więc w Marcu 307,321 tonn—w Kwietniu 488,124 tonn

W tych stratach tylko 8 statków z pośród 205, wiozących w tym czasie materiał ze Stanów Zjednoczonych do Anglii, zostało zatopionych, jak to oświadczył w swym sprawozdaniu wobec Komisji Morskiej Senatu Amerykańskiego kontr-admirał Land (ameryk.) W każdym razie nikt ani w Stanach Zjednoczonych ani w Anglii nie ukrywa tego wobec obu społeczeństw, że, jeśli pomoc amerykańska nie zostanie natychmiast wzmożona i uwielokrotniona, sytuacja na Atlantyku będzie wyglądała poważnie. To też prezydent Roosevelt zrobił kilka energicznych posunięć, które w maju zmieniły położenie. Przede wszystkim więc linia "bezpieczeństwa,:" t.j. obszar strzeżony przez "patrole neutralności" floty wojennej Stanów Zjednoczonych, została przesunięta znacznie na wschód, bliżej wybrzeży Wielkiej Brytanii, co pozwoli Anglikom na bardziej skuteczną akcję zwalczania okrętów podwodnych, uwalniając wielką ilość ich okrętów od dalekich konwojów aż po brzegi amerykańskie. Dalej "Wspaniały Prezydent," jak nazwał Roosevelta "New York Times," polecił okrętom amerykańskim donosić okrętom brytyjskim o zauważonych podwodnych piratach niemieckich. Jest to właściwie . . . współdziałanie w wojnie. I wreszcie, po ostatniej zdradzie rządu Vichy, rząd Stanów Zjednoczonych nie tylko zajął w portach wszystkie statki francuskie, lecz, jak doniosła prasa, flota wojenna Ameryki otrzymała rozkaz konfiskowania każdego statku francuskiego napotkanego na pełnym morzu.

Doprawdy, że w obecnej wojnie pojęcia "neutralności i udziału w wojnie" mocno się pomieszały, a nauczyły tego wszystkich na świecie Niemcy—najbardziej przewrotny przeciwnik w historii! Opinia amerykańska jednak co raz mocniej domaga się "wyjaśnienia sytuacji" i rozpoczęcia konwojowania drogocennego materiału aż do samych brzegów Anglii. Są wszystkie dane ku temu, że to niebawem nastąpi i upadną ostatnie barykady izolacjonistów z pod znaku "byłego pułkownika Lindbergha" (czytaj: kolonii niemieckiej i pieniędzy z Reichu). Wówczas, gdy okręty wojenne amerykańskie przejmą konwojowanie, cała flota Wielkiej Brytanii będzie mogła być użyta do właściwych zadań wojennych i "Bitwa o Atlantyk" jest wygrana.

Tak to w obecnej wojnie mieszają się sprawy polityczne z wojennymi i nigdy chyba żadna wojna nie była tak zależna od wahań politycznych i politycznych posunięć, jak wojna obecna.

Marynarka brytyjska na spółkę z marynarką grecką ma do zapisania w swym rejestrze czynów znakomitych, choć tak bardzo niewdzięcznych, ewakuację Wojsk Imperialnych Brytyjskich i części wojsk greckich z Grecji do Egiptu i na Kretę. W przyszłości będzie można rozważać czy tak wczesne zlikwidowanie baz lotniczych w Grecji było słuszne i czy nie dzięki temu właśnie okręty i statki ewakuacyjne były narażone na całą furię atakow powietrznych niemieckich. Obecnie stwierdzić należy jednakże, że to co jej nakazano, spełniła Marynarka i wojenna i handlowa wspaniale, przewożąc z górą 50,000 ludzi i ponosząc w tym piekle stosunkowo małe straty. 2 kontrtorpedowce brytyjskie i kilka statków handlowych to bardzo niewiele, jeśli się weźmie pod uwagę, że ataki niemieckie były bardzo gwałtowne i wykonywane masowo, a powietrze, na skutek ewakuacji lotnictwa z Grecji, prawie zupełnie w rękach niemieckich.

Ogromne transporty broni i zapasów wojennych, które Ameryka wysłała dla Grecji dopłynęły przez Morze Czerwone do Egiptu. Mogły więc Wojska Brytyjskie uzupełnić prawie natychmiast swój ekwipunek. Fakt ten doprowadził Niemców do furii. Gazety niemieckie zaczęły rzucać obelgi na Stany Zjednoczone i na Roosevelta, a jednocześnie Hitler ogłosił, że Morze Czerwone "powinno być uważane za strefę niebezpieczną i wojenną. Każdy statek neutralny udający się na te wody naraża się na zatopienie przez niemieckie jednostki wojenne." Ameryka całkowicie zignorowała tę groźbę i statki z materiałem dla Armii Bliskiego Wschodu płyną nadal.

Eskadra Morza Śródziemnego miała też w ostatnich czasach dużo do roboty u wybrzeży afrykańskich. Bombardowano kilkakrotnia Benghazi, współdziałano z obrońcami Tobruku, a ostatnio zaminowano wybrzeża Małej Azji i "ruchy wiekich okrętów brytyjskich na odcinku afrykańsko-azjatyckim dają dużo do myślenia"—jak piszą dzienniki amerykańskie.

Bohdan Pawłowicz
Londyn 18 maja 1941 roku.

W NAJBLIŻSZYM NUMERZE "POLSKI WALCZĄCEJ" PODAMY OBSZERNE SPRAWOZDANIE Z PODRÓŻY GENERAŁA WŁ. SIKORSKIEGO DO AMERYKI

Z kampanii norweskiej

Urywki pamiętnika



Kiedyś, jeszcze w Polsce, marzyłem o tym, aby odbyć podróż do fiordów Norwegii. Marzyłem o tym, bo Skandynawię znałem z niezrozumiałych trochę dla mnie, książek północnych powieściopisarzy. Niezrozumiałych dlatego, że życie było w nich jakieś spokojne, pozbawione wzruszeń silnych i gwałtownych. Jakże różniło się od życia w Polsce, od życia, w którym niejednokrotnie krzyk rozpaczy zlewał się z krzykiem szczęścia, w którym obok wezbranego potoku płynęła spokojna równinna rzeczka. I dlatego ta kraina lodem obłożona pociągała mnie, chciałem ją zobaczyć z bliska i przekonać się czy to prawda, że widoki we fiordach są czymś czego się nie da opisać, że ludzie nie znają słowa nieuczciwość, że mogą być jasne noce, albo dnie, w których słońce nie wstaje. Miałem niedawno okazję poznania Norwegii. Tylko tą, którą poznałem, była dymiąca, wstrząsana wielokrotnie potężnymi wybuchami bomb, drgająca od wystrzałów armatnich.

— — — — — — — — —

Wchodzimy do fiordu. Po kilku dniach rozfalowanego morza, gładki parkiet fiordu. Chociaż jesteśmy zmęczeni kilkudniowym konwojem, chociaż dzieli nas zaledwie kilkanaście mil od frontu, cała załoga wyległa na pokład i w milczeniu spogląda na nieznany Północny Kraj.

Śnieg leży wszędzie jeszcze, a do początku maja jest parę dni zaledwie. Białe są góry, białe doliny. U podnóża ciągną się ludzkie osiedla. Domki wyglądają, jak główki od szpilek powbijane do podłogi na tle wapnem wybielonej ściany. Słońce chyli się raptownie ku zachodowi. Rzuca czerwono-złotawe blaski na śnieżnobiałe szczyty. Gra świateł niespotykana w naszej ojczyźnie. Chwilami góry wydają się fioletowe, aby za chwilę przybrać złotawy odcień, który zmienia się znów w granatowy. Grają kolorami szczyty i doliny, żleby i załamania.

Stałem na pomoście i patrzyłem a z wrażenia zapomniałem o wszystkim. Góry tworzyły jakieś fantastyczne, jak z bajki wyjęte, zamki z mostami zwodzonymi, jakieś wspaniałe kościoły ze strzelistymi wieżami, jakieś ogromne nieludzkie postacie, rycerzy w stal zakutych, pieczary, groty, miasta całe o kolosalnych budowlach. Cicho było na okręcie i tylko od czasu do czasu wyrywał się jakiś głos: "Popatrz co za cudny widok."

Patrzyłem się na te osiedla rozrzucone wzdłuż wybrzeża. Zdawało się bliziutko jesteśmy, mila, dwie najwyżej. Jaka odległość do lądu, spytałem dalmierzystę. 25 tysięcy metrów. Co za złudzenie fatalne. Nic dziwnego, że te domki wyglądają tak jak główki od szpilek.

Pomimo niecodziennej gry świateł i fantastycznych widoków, góry spały, spokojnym wiecznym snem. Krajobraz był martwy. Kiedy weszliśmy w wąskie przejście fiordu i kiedy odległość nie wynosiła więcej niż parę kilometrów, domki wydawały się nadal malutkie, a w osiedlach nie znać było żadnego życia. Czasem z chałupy unosił się słup dymu, czasem przed domkiem stała jakaś ludzka postać. Na drodze widać było ślady nart.

Zacząłem rozumieć północne opowieści. Domek od domku oddalony o dobre paręset metrów, często odległość się mierzy na kilometry. Zacząłem rozumieć gromadzenie się o zmierzchu przy żarzącym się kominku i opowiadania o niesamowitych zdarzeniach, o duchach i dziwotworach. Zacząłem rozumieć wędrówki dzieciaków do budynku szkolnego i radość z powodu powrotu męża lub ojca po szczęśliwym połowie. Życie w Północnej Norwegii skupia się nad morzem i z morza czerpie się środki do zapewnienia znośnej egzystencji.

— — — — — — — — —

Zbliżamy się do portu. Na pokład wchodzi pilot Norweg. Barczysty, wysoki z twarzą czerwoną, pooraną, z nosem buraczkowym, który dawał znać o tym, że whisky lub gin to wcale, wcale znośne trunki. Dowódca rzuca parę pytań na temat toczącej się wojny.

—"Ano—odpowiada pilot—nie ma się czemu dziwić. Nasz naród od wieków już wojny nie prowadził, ale . . . ale my mamy krew Wikingów w żyłach." Dumnie spojrzał po otoczeniu.

Staliśmy w Skaaland. Obok nas przywarowały pod górą statki zaopatrzenia a w głębi zatoki na białym tle śniegu, odbijał się ciemną plamą statek szpitalny Czerwonego Krzyża. Dnie były słoneczne, bezchmurne. Noce tak jasne, że czytać było można.

Niemcy szczególnie upodobali sobie statek szpitalny. Stał się on celem czterodniowych ataków z powietrza. Nie mając żadnej obrony, biedny Czerwony Krzyż, z niesłychanym samozaparciem się znosił trzy razy dziennie bombardowania.

— — — — — — — — —

Niemieckie samoloty stosowały ciekawą taktykę ataku lotniczego. Jeden samolot szedł zazwyczaj na wabia na dużej bardzo wysokości, ponad 5000 metrów. Nadlatywał niewiadomo z której strony. Uwaga obrony przeciwlotniczej skupiała się na nim. Zaczynały strzelać działa dalekonośne, a artyleria małokalibrowa i szybkostrzelna czekała w pogotowiu. Wtem od strony słońca dolatywało przerywane brzęczenie. Patrzenie pod słońce jest trudne, słońce oślepia, a na srebrno malowane samoloty niemieckie, były ledwo widoczne w blasku słonecznym. Oczywiście bomby się sypały w pierwszych nalotach jeszcze przed otwarciem ognia. Lecz praktyka daje rezultaty natychmiastowe. Na wabia mało kto zwracał uwagę, szykując się przede wszystkim na tego, który z pod słońca miał nadlecieć.

Głupie jest uczucie gdy się widzi, że bestia właśnie na nas robi nalot i rzuca bomby. Widzi się doskonale moment oderwania się bomb. Maszyna odchyla się do góry, a srebrne kuferki giną w blasku słonecznym. I teraz to oczekiwanie . . . potem przeraźliwy świst i trzask. Westchnienie ulgi. Tym razem się nie udało, do następnego ataku.

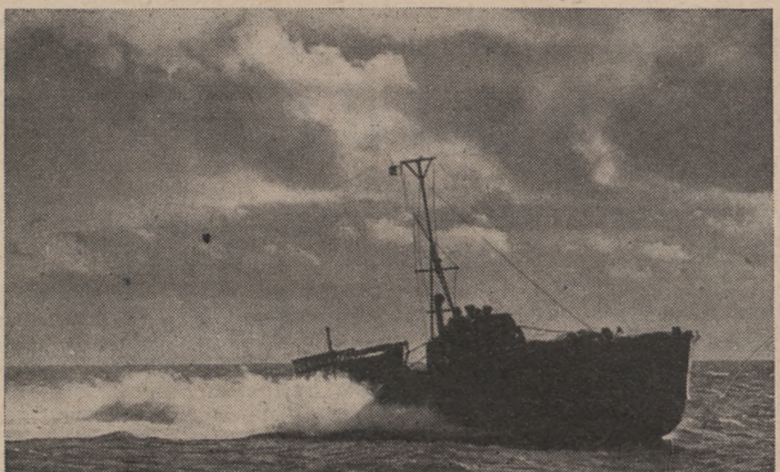
Przyjemne natomiast jest uczucie jak się widzi, że pociski obramowały płatowiec, że jakoś się zachwiał, załopotał, przeszedł na skrzydło, i . . . o, wali się . . . wali się, dobrze dostał. . . .

Spokojny, martwy kraj grzmiał od strzałów armatnich i wstrząsał się ciężko od bomb lecących z pułapu. Na białym tle śniegu czerniły się puste doły—leje.

Jerzy Tumaniszwili

Z walk na morzu

Patrol na ścigaczu



Jane jest "Wrona" (t.zn. "Wren"—W.R.N.S.) I bardzo miła dziewczyna. Jasnowłosa! Duże, zielone, kocie oczy. . . . Ale pozbawione zupełnie złych, podstępnych, fałszywych błysków. Tak mi się wydaje przynajmniej. Chodzę z nią często do kina. Czasami—na . . . film.

W poniedziałek zmiana programu w jednym, miejscowym "Cinema." "Randka" umówiona już od trzech dni. Siedzimy w podwójnym fotelu. Ona bez żenady przytula się do mnie. Jest nam dobrze, ciepło, miło. I film ciekawy. Detektywistyczny. Już—cztery trupy, a właśnie "uskuteczniają" piątego. Ale w bardzo wyrafinowany i zagmatwany sposób. Nie wiadomo kto, gdzie, jak, dlaczego i po co?

W wyjątkowej ciszy sali kinowej słyszę szybsze bicie serduszka mojej małej "przylepki." Nagle film zostaje przerwany. Zapalono światła. Starsza lady—właścicielka kina—obwieszcza z przejęciem: —

—*The crew of M.G.B.* 205 *return immediately on board*! *M.G.B.* 205!! 205!

—"*Pint*!" *Come on*!!

—Antek, wiesz, że to już jest skończone "kasztaństwo." Żeby w najciekawszym momencie . . . Co to mi nie jest?!

—Józek! A co z Miki? Na pewno ją "słoniątko" z 260 zarekwiruje.

—Ty się, Gipsy, martw o Glorię lepiej!

I ciche wielokrotne: —*Good night, I'm sorry . . . Good night, my darling. Good night*!

Good luck!!

(Ktoś kogoś pocałował. Ktoś inny się roześmiał. Ktoś był bardzo "*Sorry*," że nadepnął komuś na odcisk.)

I wybiegają z ciepłej, dusznej sali w pustą, wąską uliczkę. Jeden dwóch, sześciu, dziesięciu. . . . Biegną wzdłuż starych, małych domków. Dudnią ich kroki w ciszy nocnej. Zapinają po drodze półpłaszcze. Bo zimno!

* * *

—"Pepciu"!! Do jasnej cholery! Gdzie "Pepcio" jedzie?!

—Nic nie widać, panie poruczniku.

Rzeczywiście jest ciemno. Zimno i nieprzyjemnie. Jakieś dziwne, o niesamowitych kształtach chmury . . . czarne i groźne wiszą tak nisko, że Antek co chwila drze się: —

—Skała na kursie!!! Ląd, ląd!!!

—Dajcie spokój wreszcie z tymi skałami. Nie ma tu nigdzie—żadnych.

Ale choć to wiem doskonale, z dziwnym dreszczem niepokoju patrzę na te ponure, czarne chmury. Bo może to naprawdę brzeg . . . może kompas "nawalił"? . . . Zresztą idę drugi w szyku.

Sternik z trudem stara się utrzymać w białej ścieżce wodnej, którą zostawia za sobą ścigacz dowódcy flotylli. Widoczność co raz gorsza. Słabe zarysy horyzontu znikły już całkiem. I nie widać też groźnie wiszących chmur. I w ogóle nic już nie widać.

Morze zasypia, otulając się szarą kołdrą grubej, nieprzeniknionej mgły. Jane pewnie też już śpi—w ogrzanym pokoju, w wygodnym łóżeczku, przytulona do poduszki. I wszyscy ludzie tam—na lądzie. . . . Trochę zazdroszczę. Otulam się w płaszcz wachtowy i nasuwam kapuzę na głowę.

"Pepcio" to chyba wiłkołak, że widzi jeszcze ślad torowy. Nieswojo się czuję i trochę jakoś niepewnie. Pędzimy dużą sybkością w mętną masę przed nami. Ku Nieznanemu, Niewidzialnemu. Coś się czai na kursie. Coś się napewno tej nocy wydarzy.

Godzina 23,45. Dochodzimy do linii patrolu.

—"Pepciu," za chwilę "204" zrobi pewnie zwrot w prawo. Uważajcie!

—Zwrot!!

Na kurs Nord 82 West!

—Na kursie.

A potem sygnał: —"*Close Senior officer and cut engines.*"

—Odstawić motory.

Po ogłuszającym warkocie motorów i szumie od szybkości nagła cisza jest okropnym kontrastem. Jest . . . jest . . . ogłuszająca!

Po chwili nie dudni mi już w głowie, nie huczy i nie dzwoni. Tylko wciąż jeszcze, jakby oddalający się, co raz cichszy pomruk motorów. . . . Co raz słabszy, co raz dalszy. . . . I potem—cisza. Taka cisza kompletna, absolutna. I zdaje się, że słychać jak morze śpi. Wzdycha przez sen, jak dziewczyna marząca. Delikatnie i lekko i tęsknie. I oddycha rytmicznie piersiami małych fal.

Jak rozkosznie musi wyglądać teraz śpiąca Jane! Jak słodko . . . kochanie. . . .

Jakbym się chętnie przespał! Powieki ciążą co raz bardziej. Co raz bardziej, co raz. . . .

—Antek!!!

—Tak jest, panie poruczniku!

—Nie śpij, kasztanie!! Słuchaj!

—Ja słucham, panie poruczniku.

—Słuchaj i patrz też.

—Tak jest!

I nagle coś, co nas zelektryzowało. Nieuchwytny, daleki szmer. . . . Największy wybuch, najstraszniejsza eksplozja i najokropniejszy huk nie poraził by tak bardzo moich nerwów, jak ten słabiutki, ale ciągły szum.

—Motory, panie poruczniku!! Tam, tam!!—wrzeszczy Antoś.

Rozbudził na dobre wszystkich. Trzask repetowanych Lewis'ów. Każdy już słucha i czeka. Według Raportu Ruchów Nocnych z Admiralicji nie może tu być żadnych własnych jednostek.

—Sygnał na "204"!

I ruszamy. W pełnym pogotowiu! Gotowi!

Błyski ratierem z "204." Nieprzyjaciel z lewej burty!!

—Tam, tam!!

—Kąt kursowy 300. Cel pierwszy z lewej. Uwaga!

Widać już trochę wyraźniej zamazane, ciemne sylwetki jakichś małych, wysmukłych okrętów. Dwa, trzy cztery!!

—To ścigacze!—mówi cicho Antoś, jakby się bał, że go usłyszą.

Dowódca flotylli daje rozpoznawcze. Zapalam i ja.

Chwila wielkiego napięcia. I jeszcze raz. Nie ma odpowiedzi.

Huk i błysk strzałów z całego uzbrojenia "204" przynosi odprężenie i ulgę.

—PAL!!!

Milczące, czarne, tajemnicze plamy odpowiadają teraz dopiero. Ale ogniem! Nie słychać świstu kul. Bo warczą motory na zwiększonym gazie. . . . Dowódca flotylli robi zwrot na nich.

—Niżej trochę, Emil!! Niżej!!

Strzelają chłopcy, że hej! Uśmiecham się i zdaje mi się, że strzelamy do tarczy. I że dobrze strzelamy. I nic więcej nie czuję.

—Z prawej burty!! . . Okręt!!

Odwracam głowę i włosy mi się jeżą. Wprost w burtę wali nam ciemna, duża bryła.

—Prawo na burt!!!

Gwałtowny zwrot. Przechodzę przed dziobem. Ocieram się prawie burtą. I po wszystkim. Sytuacja uratowana. Uff! . . . Odetchnąłem. Myślałem, że mnie zgniecie. To był chyba trawler. Ale co on tu robił? Może miny stawiał?

Przez tych parę sekund straciłem kontakt wzrokowy z nieprzyjacielem. I nic już nie było widać. Nigdzie—wokół! . . . Ani mego matelota-Anglika, ani niemieckich ścigaczy, ani trawlera.

. . . I czułem się trochę jak Zagłoba, gdy mu się koń rozparł, a na głowę spadła pułkowa chorągiew zaporoska. Tylko, że ja wciąż byłem nakryty czarną płachtą mglistej nocy. I zerwać tej zasłony nie mogłem.

Gdzie szukać wrogów? Gdzie mój towarzysz?

Zgasiłem motory na moment. Usłyszałem szum. Ruszyliśmy w tym namiarze. Każdy zamienił się we wzrok. Otwiera oczy tak szeroko, że aż marszczy się czoło. Przeklęta mgła!

Dwie godziny poszukiwań. Pełnych nerwowego napięcia i wysiłku wzrokowego. Pełnych wielkiej żądzy walki. Widziałem, jak każdy jeszcze nią dyszał. Jak szybciej oddychali! Jak błyszczały im, rozszerzone do niemożliwych granic, oczy! Jak u wilków! I widziałem tylko ich wielkie, ogromne oczy. Oczy, w których błysk był silniejszy, niż pocisków świetlnych. Oczy nienormalne.

Jak oni chcieli jeszcze strzelać! O!! Jak bardzo!

A potem—konieczna rezygnacja. Trudno—zwiały. . . . Po trzykroć przeklęta, cholerna mgła. "Kasztańska!"

O świcie opary zaczęły się podnosić. Odnalazłem swego towarzysza. Miał parę rur w siłowni podziurawionych od kul, ale żadnych strat w ludziach.

Szliśmy "czołowym." Burta przy burcie tak blisko, że prawie można było podać rękę. Dowódca flotylli przy powitaniu podniósł dwa kciuki do góry. I uśmiechał się. Szeroko i szczerze. Zresztą on zawsze się uśmiecha. Było nam raźnie i wesoło.

Mewy, przebudzone hukiem motorów, z podziwem kręciły głowami nad nami. "Jak oni szybko lecą!" "Co to za ptaki?" I dorównać nam nie mogły. Ani też—samotny jakiś albatros. . . . Jakby trochę zaspany. . . .

Krążyliśmy jeszcze godzinę.

* * *

Dwadzieścia mil na północ od linii naszego patrolu szedł kanałem konwój. Bezpiecznie, spokojnie, bez przygód. . . .

A jeszcze dalej—w małym miasteczku, spała słodko mała "wronka" Jane.

Eugeniusz Weiślicki

Szkic sytuacyjny

CO DALEJ?

Pytanie, jak rozwinie się dalsza akcja na Bliskim Wschodzie intryguje i zaciekawia. Czy po opanowaniu Bałkanów Hitler uderzy na Turcję, czy też podejmie akcję w stosunku do Rosji? Wiele przemawia za tym, że Turcja może być zaatakowana pierwsza i że Rosja utuczy się nawet kosztem Turcji a może także i Persji. Turcja czekała zbyt długo: jest dzisiaj osaczona, Dardanele zaczopowane od strony Morza Egejskiego, od strony Morza Czarnego Turcy puszczają transporty niemieckie. Potencjał wojskowy Turcji może trochę przeceniają ci, którzy tkwią jeszcze w pojęciach "dzielnych armij" i "tradycyj wojskowych." Nikt nie wątpi, że żołnierz turecki jest doskonały, ale serbski był niegorszy i mimo to przejechała się po nim maszyna niemiecka.

Wojna obecna jest wojną maszyny, precyzyjnie i składnie poruszanej przez człowieka: przygotowanie działania, organizacja jest podstawą udania się operacji. Matematyka przygotowania musi być poparta szybkością działania, współgrania wszystkich czynników. Osobiste męstwo żołnierza będzie dalej rzeczą ważną, ale *nie* może być już rozstrzygające. Chyba, że żołnierz ten opancerzony będzie tak samo jak zmechanizowany wróg. Wówczas, przy równej masie żelaza, wygra *dzielniejszy*.

Turcja mało ma w sensie nowoczesnym: mechanizacja tej armii nie jest zbyt zaawansowana, lotnictwo jest zaniedbane, nieliczne. Przemysł wojenny Turcji jest rzeczą nieznaną.

Więc teraz idzie kolej na Turcję lub na jakieś inne działanie ją osaczające, nie na Rosję.

UKŁAD SOWIECKO-NIEMIECKI

Stalin całuje się na dworcu w Moskwie z attaché niemieckim, pokazując światu, że dyktator Wszechrosji boi się potężnie, Moskwa uznaje rebelianta w Iraku lecz cofa uznanie dla posła Jugosławii w Moskwie. Te i inne fakty—przy stałym wspieraniu Rzeszy pomocą w surowcach, które Moskwa zakupuje *dla Berlina* na drugiej półkuli—dowodzą, że Moskwa chce się wymigać z katastrofy i odwlec porachunek. Zgodzi się zatem i na krajanie Turcji, załapie kawał Persji, weźmie wszelkie odpadki ze stołu Hitlera: taka jest bowiem natura słabych, natura szakali, liczących na podboje z łaski innych.

EGIPT I SUEZ

Marsz niemiecko-włoski od Sollum ku Egiptowi został na czas jakiś zahamowany. Tobruk się broni stanowiąc dowód, że w wojnie błyskawicznej można pozostawiać za linią obiekty, które w normalnej, starej strategii musiało by się wziąć szturmem *przed* pójściem dalej. Dzisiaj warownie obchodzi się i prze dalej—szansa bowiem "*sortie*," czy wypadu ze strony załogi—o ile nie jest zmotoryzowana bardzo poważnie—nie jest groźna.

Uderzenie niemiecko-włoskie na Suez jest faktem, z którym musimy się liczyć. Zdaje się, że Francuzi puszczają dalsze posiłki niemieckie do Libii wodami przybrzeżnymi koło Tunisu. Jeżeli tak, to armia Wavella będzie miała rozprawę poważną. Musi ona bronić Suezu: nie tylko od strony lądu, ale i od strony powietrza; kanał jest wystawiony na niebezpieczeństwo ataku samolotowego z Grecji, Libii.

ZAMKNIĘCIE MORZA ŚRÓDZIEMNEGO

Celem akcji niemieckiej jest zapewno zamknięcie basenu Morza Śródziemnego przez pochwycenie Suezu oraz Ceuty—nie sądzę, ażeby Niemcy chcieli *szturmować Gibraltar*. Ważniejsze dla nich będzie zajęcie punktów na brzegu hiszpańskim wokoło twierdzy gibraltarskiej oraz naprzeciwko Gibraltaru—na brzegu afrykańskim.

Akcja niemiecka w Marokko hiszpańskim byłaby niebezpieczna dla Francuzów w Afryce, którzy już mają Niemców w Libii i którym leje się za kołnierz struga "fachowców" niemieckich do Marokka i Tunisu.

IRAK I IRAN

Bunt w Iraku nie został jeszcze stłumiony. Rurociągi naftowe trzyma dalej w ręku swoim buntownik. Baza angielska w Basra, dokąd przychodzi pomoc amerykańska wszelkiego rodzaju, nie jest wolna od niebezpieczeństwa ataku.

Pośpiech w tej sprawie jest nakazany, podobnie jak wyjaśnienie stanowiska Persji (Iranu). Zdaje się bowiem, że szach perski zanadto ulega namowom Rzeszy.

POMOC AMERYKAŃSKA

Stany Zjd. przesyłają pomoc w co raz to poważniejszej mierze, gotowe są także wzmocnić zabezpieczenie szlaków. Jeżeli nie pomogą patrole, przyjdą konwoje. Pozostaje jednak dalej do rozwiązania sprawa topienia statków na Atlantyku (zbyt poważny procent pomocy idzie na dno, podobnie jak zbyt znaczny tonnaż statków handlowych tonie) oraz wyładowywanie jednostek na brzegu brytyjskim tak szybko, by nie topiono statków w porcie.

Porty angielskie są na raźie celem ataków niemieckich. Ale i miasta takie jak Londyn od czasu do czasu przeżywają ciężkie noce. Procent zestrzelonych aparatów niemieckich rośnie, jeżeli chodzi o Londyn, gdzie obrona przez nocne *fightery* jest bodaj najsilniejsza. Dochodzi już bodaj do 10 procent maszyn biorących udział w nalocie. Jeżeli dojdzie do 20 proc. Niemcy będą musieli namyślić się, czy warto.

UTRZYMANIE PRODUKCJI, EWAKUACJA MIAST

Produkcja angielska ucierpiała mniej od nalotów niż to przewidywano. Idzie ona na ogół dobrze, ale ilość warsztatów pracy jest dalej niewystarczająca. R. 1941 będzie rokiem stawiania na nogi produkcji wojennej Anglii—albowiem dotychczas była to w wielkiej mierze próba *przygotowania*. Ilość broni jest dalej niedostateczna. Przekonaliśmy się o tym w Grecji.

Sprawa wyżywienia wyspy, rozdziału żywności między ośrodki, sprawa ewakuacji ciężko uszkodzonych miast—oto sprawy, które będą nabierały co raz bardziej na wadze w miarę rozwoju wojny.

DZIWNY GOŚĆ

Na ziemi szkockiej wylądował niedawno osobliwy gość z Rzeszy: zastępca Hitlera, Rudolf Hess. Przyjęto go z uczuciami, by tak rzec, "mieszanymi"—radości, że system niemiecki wykazuje poważne szczerby i pęknięcia, jeżeli zastępca wodza Trzeciej Rzeszy zmyka z Niemiec oraz niepokoju, że poza przylotem Hessa kryje się jakiś podstęp.

Wydaje się, że podstęp jest tu mało prawdopodobny. Hess po prostu wolał życie aniżeli godności i karierę. Miał widocznie powody do obaw, że na życie jego ktoś czyha i że lepiej nie kusić szczęścia. Rewolucja lubi utrącać głowy.

Przylot Hessa jest ciosem dla regime'u niemieckiego. Cios ten będzie musiał mieć wpływ na postawę ogółu niemieckiego, który widział w Hessie "sprawiedliwego," prostego, człowieka, który jest lojalny i pracuje dla Führera. Jeżeli właśnie ten cichy, spokojny, niepolujący na zaszczyty człowiek zmyka, jeżeli i on czuje się niepewny, jeżeli najbardziej lojalni lękają się o swoją skórę—to jest to dowód głębokiego kryzysu: kryzysu zaufania w łonie Olimpu hitlerowskiego, chorobliwego zaiste niepokoju.

Przylot Hessa nie powinien upajać nas możliwością łatwego zwycięstwa, ale przeciwnie—sprężyć wszystkie energie, ażeby ciosy w naród niemiecki były mocniejsze, bardziej stanowcze.

Londyn, 14 maja 1941.

Zbigniew Grabowski

Skrzynka pocztowa

Wielce Szanowny
Panie Redaktorze,

W mojej książce: "Historia Polski od 11 listopada 1918 do 11 listopada 1939" wspomniałem niepochlebnie o roli majora Klingera w styczniu 1919 r. w Wilnie. Nazwałem go "krzykaczem." Dowiaduję się jednak obecnie, że ś.p. mjr. Klinger już po niefortunnym dla niego epizodzie wileńskim był dekorowany Krzyżem Walecznych i Virtuti Militari.

Byłbym Panu Redaktorowi bardzo wdzięczny za wydrukowanie listu niniejszego, gdyż nie chciał bym uczynić krzywdy oficerowi, posiadającemu odznaczenia bojowe.

Raczy Pan, Panie Redaktorze
przyjąć wyrazy
głębokiego szacunku

Stanisław Mackiewicz

"Przede wszystkim chciałem szczerze powinszować imperialnego numeru "Polski Walczącej," który na całego udał się—że się tak wyrażę. Zresztą nie pierwszy to już objaw "udatności" poziomu Pańskiego pisma. O ile przedtem miałem, przyznam szczerze, pewne zastrzeżenia co do braku "kontaktowości," bezpośredniej łączności "Polski Walczącej" z naszą żołnierską bracią, o tyle teraz cieszy mnie wyrównanie wytycznych właśnie w tym kierunku. Cieszę się tym bardziej, że to nie tylko moje zdanie.

Numer imperialny, który z powodu urlopowania dopiero obecnie dostał się do moich rąk, przeczytałem z prawdziwym zadowoleniem i co najważniejsze, z dużą korzyścią."

B. K. Piekarski

"Pragnąłbym bardzo pisać dla "Polski Walczącej." Cóż można o niej powiedzieć. Ma Pan dość dużo zachwytów i pochwał. "Polska Walcząca" podoba mi się—dlaczego? Dlatego, że nie traktuje żołnierzy, jak "niedorozwiniętych umysłowo Jasiów," że trzyma się zdala od brudnych dyskusji i nie daje się w nie wciągnąć pomimo prób ze stron przeciwnych, że omija poboczne cele partyjnych pism, a widzi tylko jeden cel: Polskę. Dobór artykułów, których większość ma znaczenie nietylko słowa rzuconego na papier, które po przeczytaniu zapomina się, ale które po prostu dokształcają, powiększają wiadomości, lub je odświeżają. W "Polsce Walczącej" jest czysty polski język. Jednym słowem wartościowe pismo, pierwszorzędnie redagowane."

Kazimierz Podgórski

"Turysta" na Messerschmidt'cie

Oskar Wilde wypowiedział kiedyś jako paradoks, że to nie sztuka naśladuje życie, ale życie naśladuje sztukę. Sensacyjny lot Hessa paradoks ten potwierdził. W 1940 roku, za rządów Chamberlaina jeszcze, Peter Fleming, jeden z redaktorów Timesa napisał humorystyczną powieść o tym, jak to Hitler spada z aeroplanu w Anglii i jak szuka pałacu jednego ze swoich przyjaciół. Wówczas pomysł ten wydawał się jedynie doskonałym dowcipem. Tymczasem życie go powtórzyło. Co prawda nie sam Hitler, ale Rudolf Hess spadł z nieba właśnie w Szkocji jakoby w poszukiwaniu Księcia Hamilton.

Ale żarty na bok. Lot Hessa jest zdarzeniem politycznym zupełnie niezwykłej wagi, godnym jak najbardziej szczegółowego rozważenia.

Jakie były istotne zamiary Hessa, tego nie wiemy i nieprędko wiedzieć będziemy, albowiem "najszczersze" nawet zwierzenia Hessa będzie należało traktować z jak najdalej idącą ostrożnością. Można się jednak pokusić o rekonstrukcję sytuacji na zasadzie tego, co nam jest wiadome o Niemczech i metodach niemieckich, o nacjonal-socjaliźmie i metodach nazistowskich.

Pierwsze pytanie, które się automatycznie narzuca jest czy lot Hessa odbył się z wiedzą Hitlera, czy też bez jego wiedzy, czy stanowi on ogniwo w polityce nacjonal-socjalizmu, czy też jest zerwaniem z tą polityką.

Teoretycznie jest możliwe, że lot ten nie był wybrykiem indywidualnym. Można przypuszczać, że Hitler, który tak umiejętnie operuje piątymi kolumnami chciał przez propozycje pokojowe, zakomunikowane przez Hessa ludziom, którzy dawniej byli przychylni dla hitleryzmu wywołać zamieszanie w Wielkiej Brytanii i może nawet obalić Winstona Churchilla. Są ludzie poważni między innymi Ernest Bevin, którzy możliwość tę dyskontują.

Gdyby tak było istotnie, to ten przypadek, że Hess spadając zwichnął nogę w kostce i dzięki temu nie mógł niepostrzeżenie dostać się do swych przyjaciół a wpadł w ręce policji angielskiej byłby tym cudem, który plany hitlerowskie udaremnił.

Przeciwko tej tezie jednak zdaniem moim przemawia cały szereg względów. Przedewszystkiem sam fakt wypadku, którego Hitler i Hess nie mogli byli nie wciągnąć w rachubę. Niepodobna, by dla akcji dywersyjnej—a przecież o nic innego nie mogłoby iść jak o dywersję polityczną—ryzykowano trzecią osobę po Hitlerze. Nie mówię już o tym, że Hess lotem tym w trakcie raidu ryzykował życie—Hitler nigdy nie przejmował się cudzym życiem. Ale przecież to co się stało, a co było prawdopodobne, jako efekt w Niemczech jest nieskończenie groźniejsze, aniżeli efekt dywersji sprowokowanej przez Hessa tutaj.

Co dalej przemawia przeciw przypuszczeniu o locie z góry przygotowanym, to nieustanna zmiana wersji tego lotu przez radio niemieckie. Hess-wariat, którego trzeba było pilnować w ciągu dwudziestu czterech godzin zmienił się w Hessa szlachetnego idealistę, który się łudził, że można z Anglią bawrzeć pokój. Gdyby lot był z góry znany napewno Goebbels by miał z góry ułożoną jedną wersję na wypadek przymusowego lądowania. Pośrednio potwierdza to fakt przerwania na 24 godzin komunikacji telefonicznej Niemiec z Szwecją. Widocznie przez ten czas szukano Hessa w Szwecji.

Zdaje się więc, że można przyjąć za pewnik, że lot Hessa był lotem na własną rękę, nie zorganizowaną imprezą partyjną.

Gdy mówię na własną rękę, to nie znaczy, bym myślał że Hess nie miał w Niemczech wspólników i pomocników. Wprost przeciwnie bez pomocy nie mógłby dostać się do aeroplanu i uciec z Niemiec.

Możemy więc śmiało przyjąć, że jedność partii nacjonal-socjalistycznej się zarysowała, że są wewnątrz niej tarcia i pęknięcia, które zmusiły Hessa do ucieczki.

Na jakim tle powstały te niesnaski? Goebbels robi z Hessa idealistę, który chciał Anglii oszczędzić ostatecznej klęski i poleciał nawracać ją na natychmiastowy pokój.

Koń by się uśmiał z tego anioła pokoju.

Za równie niepoważną jednak uznać należy i tezę niektórych kół angielskich, że Hess jest szczerym i przekonanym antybolszewikiem, i że uciekł, bo nie chciał się zgodzić na jeszcze bliższą współpracę z Rosją. Są to niestety echa tego denerwującego i tak szkodliwego przedwojennego poszukiwania "nazich umiarkowanych." Grał na tym latami Goering, grał na tym Schacht grożąc, że o ile nie poczyni się im ustępstw to oni będą musieli ustąpić i "dzicy ludzie" w partii przyjdą do głosu. Hess przełknął spokojnie pakt że Stalinem i apoteozował go nawet. Czemuż by więc go miało nagle tarez ruszyć sumienie.

Są dwie możliwości tłumaczenia ucieczki Hessa. Albo w rozgrywkach wewnętrzno partyjnych powinęła mu się noga tak dalece, że bał się o swoje życie. Wiemy przecież, że tak samo jak w Rosji Sowieckiej tak i w Niemczech skała tarpejska jest bliska Kapitolu.

Albo po prostu widząc niepodobieństwo zwycięstwa niemieckiego zapragnął nie być w Niemczech w momencie gdy nastąpi rozrachunek z nacjonal-socjalistycznymi bandytami. Wolał wycofać swą stawkę z gry póki jeszcze czas, zaskarbić sobie wdzięczność, a przynajmniej życzliwą neutralność zwycięzców.

Motywy Hessa zresztą nie są najbardziej ważne. Ważne jest to, że każdy Niemiec dzisiaj musi się pytać z zaniepokojeniem, czemu to Rudolf Hess uciekł.

Bo jednak Rudolf Hess to nie byle kto. To oficjalny zastępca Hitlera, to znaczy człowiek, który przed wojną miał drugie stanowisko w Niemczech. Po wojnie dopiero musiał ustąpić to drugie miejsce Goeringowi, którego Hitler na wypadek swej śmierci naznaczył swym następcą. Ale jednocześnie Hitler oświadczył, że gdyby i Goeringa nie stało to Führerem ma zostać Hess. Hess to najwierniejszy z wiernych, jedyny człowiek po śmierci Roehma i odsunięciu Streichera, który Hitlera "tyka." To on w więzieniu w Landsberg pod dyktando Hitlera pisał "Mein Kampf."

Pierwszego dnia można się było obawiać, że przybycie Hessa spowoduje pewne zamieszanie w Anglii. Znaleźli się bowiem tacy, co zaczęli w nim widzieć nieomal że bohatera, a w każdym razie szlachetnego, uczciwego nacjonal-socjalistę. Tak pisał o nim War Price, ongi apologista Hitlera, Mussoliniego i Becka, takie akcenty znalazły się w "Timesie," a nawet w jednym z programów BBC.

Bardzo szybko jednak z tą niebezpieczną zabawką skończono. Ernest Bevin wyraźnie powiedział, że dla niego Hess jest zwykłym mordercą i niczym więcej; odpowiedzialna prasa tej histerii prohessowskiej mocno przeciwstawiła się.

Istotnie Hess pochodzeniem różni się od większości dygnitarzy nazi. Nie był osobiście skrachowanym, gdy wstąpił do partii jak byli nimi morfinista Goering, Goebbels niewydarzony beletrysta, którego powieści nikt nie chciał czytać, czy też oprawca Polski Frank, którego jedynie dojście do władzy Hitlera uratowało od haniebnego skreślenia z listy adwokatów.

Hess pochodził z solidnej burżuazyjnej rodziny, był człowiekiem zamożnym.

Ale na tym i koniec. Tak dalece nie był "idealistą," że w partii nie nazywano go inaczej, jak chytrym Egipcjaninem (Hess urodził się w Aleksandrii).

A mówić o szlachetności człowieka, który jest odpowiedzialny za okropności niemieckich obozów koncentracyjnych, który w swoim resorcie miał sprawy Niemców zagranicą, to jest działalność wszystkich piątych kolumn, który wielbił głośno i publicznie wszystkie zarządzenia Hitlera. . . .

Nawet o najprostszej, finansowej uczciwości Hessa mówić nie można. Na liście Knickerbockera, wymieniającej fundusze osobiste władców nacjonal-socjalistycznych, ulokowane "na wszelki przypadek" zagranicą, jest i Hess z niebrzydką sumą miliona funtów. To napewno nie oszczędności z pensji.

Ucieczką swą Hess dał naszej sprawie wspaniały atut propagandowy, atut, który trzeba będzie w całej pełni wyzyskać.

Ale się nie zrehabilitował. W momencie, w którym się pociągnie do odpowiedzialności gangsterów i zbrodniarzy nacjonal-socjalistycznych nie zapomnimy o zastępcy Führera, Rudolfie Hessie.

Czesław Poznański

Od Administracji

Zwracamy uwagę naszych Czytelników, że obecny adres Administracji (Business Offices) jest następujący:

63, Lincoln's Inn Fields, London, W.C.2

Pod powyższy adres prosimy kierować korespondencję w sprawach abonamentu, wysyłki pisma, ogłoszeń i zmiany adresu oraz należność za prenumeratę.

Z życia obozów

Nareszcie pierwsze strzały

Przy odrobinie "dobrej woli" możemy mieć chwilę złudzenia, że jesteśmy np. na—Gubałówce. . . . Daleko w dole za nami pozostał nasz chwilowy obóz, kryjąc się wśród drzew i zarośli. W sinym oddaleniu ginie miasteczko, do którego biegamy dla zabicia czasu. Dnem doliny sunie dziecinny pociąg, ciągnąc za sobą pasemko idealnie białych kłębuszków dymu. A cała dolina rzucona jest na tło pięknego górskiego krajobrazu. Wzgórza, przez mgły malowniczo usytuowane w kilka wyraźnie odcinających się plam, wierzchołkami nurzają się w nisko pełznących chmurach—stęskniona swojskich widoków wyobraźnia może więc doimaginować sobie w tych chmurach skryty wspaniały zarys Giewontu i dalszą majestatyczną panoramę Tatr. . . .

Bateria na stanowisku. Działa, rozkazem odwrócone od pięknego widoku, patrzą ku górskim pustkowiom poligonu.

—Uwaga, przed nami po prawej ręce—pada komenda—wzgórze z budką. Koło budki-maszt, punkt celowania. Wycelować jak najprędzej, bo za chwilę mgły przesłonią wierzchołek wzgórza.

Rzeczywiście, gęste mgły przykryły już piękny widok za nami i powoli wyłażą wzdłuż zbocza, pchają się na przełęcz, ogarniają wyznaczony nam punkt celowania. . . .

Łapiemy go w ostatniej chwili, poczym na długo ginie nam we mgle. Chowa się też za chmury największa w tych stronach góra. U jej podnóża, od nas niewidoczny, przytulił się niewielki lasek, który obserwowaliśmy na mapie, jako nasz "dozór No. 1," nasz pierwszy główny cel tego dnia.

Ktoś tam goni wbić przed baterią tyczkę, "punkt ustalenia," tymczasem już furczą pod kilofem kamienie, złośliwie płytko sterczące pod bujną trawą tej hali na "szkockim podhalu," już pracowite łopaty wyrzucają ziemię z wykopu pod ogon naszego działa. . . .

—Odchylenie na punkt ustalenia, krąg zero, bęben 128—oznajmia celowniczy, a działonowy melduje panu porucznikowi—Najniższy celownik dla pierwszego działa—3.200.

To znaczy, że nasz działon gotów jest do strzelania. Po chwili gotowe są i pozostałe działony.

—Powiększyć o 50, celownik 4,800, granat zwyczajny, zapalnik IAL . . . —pada pierwsza komenda ogniowa tego dnia.

—Nie odkapturzajcie tego zapalnika takimi nerwowymi rękami—strofuje podporucznik amunicyjnego pierwszego działonu, ale w parę minut po tym—sam się w zdenerwowaniu myli przy podawaniu celownika i prędko się poprawia.

Jesteśmy dziś wszyscy nieco stremowani. Pierwsze to strzelanie w Szkocji, pierwsze strzelanie nowych obsług, w dodatku—warunki atmosferyczne są niepomyślne.

Nasz dywizjon wywodzi się z dobrze już w dziejach tej wojny zapisanego pułku, który po chlubnym udziale w kampanii wrześniowej—odrodził się we Francji, a teraz oto—"jak Feniks z popiołów" powstaje raz jeszcze w Szkocji. Ale nie wszyscy żywi wyrwali z obozów internowanych na Węgrzech, nie wszyscy wydostali się z Francji. Obsługi są połatane nowymi ludźmi, obsługi są jeszcze niezgrane. A ambicje mamy wysokie, ambicje—sportowe. O pół kilometra od nas strzela inny dywizjon polskiej artylerii, a na punkcie obserwacyjnym strzelaniu przygladają się nie tylko nasi przełożeni, ale też i Anglicy.

Nasz ładowniczy, młody chłopak, ale stary żołnierz, jeszcze z kampanii polskiej—zapycha pierwszy pocisk w czeluści naszego działa.

—Gotowe!

—Od działa!

—Pal!

I powietrzem wstrząsa nasz pierwszy na szkockiej ziemi strzał. Dzwoni w uszach potężnym grzmotem, potym uderza w nozdrza ostrym swędem materiałów wybuchowych.

Na pierwszy strzał, jak na gong, w pamięci zaczyna się rozwijać błyskawiczny film wspomnień o różnych dawnych strzałach, oddawanych w jakże rozmaitych okolicznościach, het, jeszcze w tamtej, z przed dwudziestu lat, naszej wojnie. . . .

Ale komenda następnego pocisku szybko przywołuje amunicyjnego do porządku . . . strzelania. Trzeba szykować nową porcję żelaza.

. . . I ten drugi pocisk poszedł hulać po górskich pustkowiach poligonu. A za nim—trzeci. Poczym przyszła—seria bateryjna. I nieoczekiwana komenda:

—Zapisać dane celu No. 1. Koniec strzelania. Bateria-spocznij!

Tylko cztery strzały? Spogląda po sobie jakby z żalem obsługa pierwszego działa. Ale natychmiast przychodzi przyjemna refleksja—tośmy jednak dobrze strzelali. Bo przecie wstrzelanie się w trzech strzałach to sukces nie tylko oficera prowadzącego ogień, ale i obsługi, która nie zmarnowała mu strzelania. . . .

Mamy chwilę czasu. Oglądamy się za siebie. Wspaniały górski krajobraz wyłonił się z powrotem z mgieł i chmur. Na jego zaś lewym skrzydle znajdujemy nowy, malowniczy szczegół.

Podjechał samochód sanitarnej czołówki szkockiego Czerwonego Krzyża. Szoferka — "*delicate ginger*," ruda główka w kokieteryjne zsuniętej na bakier czapce—ulokowała się na dachu karetki, prezentując nam powabny widok odsłoniętych powyżej kolan strzelistych, zgrabnych nóg. Czy ten "punkt obserwacyjny" na dachu samochodu bardzo rozszerzył jej widnokrąg artyleryjski—wątpię. Naszej jednak górskiej panoramie stanowczo dodał uroku.

—*Beautiful view*!—rzucił któryś z nas w kierunku rudej *miss*.

Po chwili Szkotka—z bliska zobaczyliśmy, że jest wcale gustownie umalowana—pozuje przy naszym dziale do fotografii, tuląc do łona dobrze już na drogę wywazelinowany pocisk. . . .

A potem poszły dalsze strzelania poszczególnymi działonami i całą baterią. Wreszcie, nastrzelawszy się do syta, ustępujemy miejsca innej baterii, sami zaś idziemy na punkt obserwacyjny przyglądać się strzelaniu kolegów. . . .

Na rostaju górskich dróg, w małej kotlince znajdujemy samochód naszej dywizjonowej spółdzielni. Przywiózł on nam z odległego o dziesiątki mil naszego stałego obozu, różne specjały i całe stosy pudełek papierosów.

Ciężarówka jest oblegana wytrwale i agresywnie. Żądania i już nabyte wiktuały, szylingi i pensy krzyżują się w powietrzu, poganiane natarczywymi ponagleniami tych, co czekają w dalszych szeregach.

Czarny, nieco kędzierzawy bombardier czyli—"bombowiec"—"pan konsul" uwija się jak potrafi, nie może jednak naturalnie dotrzymać pola tylu równocześnie nacierającym klijentom.

Przypominam sobie dziwnie podobną sytuację. Było to przed rokiem. Nasz konsulat w jednym z krajów neutralnych był oblegany tak samo natarczywie. Tylko, że wówczas ten sam nasz "pan konsul" za okazaniem mojej dziennikarskiej, syndykackiej legitymacji był łaskaw wydać mi żądany paszport w ciągu 10 minut. Tym razem, na dwie czekolady po 2 pensy czekam o wiele dłużej. Ale jestem wyrozumiały.

. . . Zajmujemy miejsca na amfiteatralnym zboczu wzgórza. Przed nami jak na dłoni wielka kotlina górskiego poligonu. W kotlinie tej, poprzerzynanej strumieniami, dolinami i pagórami o jednostajnym, rudawym kolorycie—dziwnie się gubią i mylą odległości i wymiary. Kilometry kurczą się do setek metrów, setki zaś metrów wyrastają w kilometry. O, ci ludzie zdawało by się tuż, blisko, wyglądają, jak mrówki, a ten las na dalekim zboczu, oglądany przez lornetkę okazuje się niewielką kępą niskich krzewów.

Łącznik przynosi z kierującego ogniem punktu obserwacyjnego założenia nowego strzelania.

—Przed nami na odległości 3 km. wzgórze. O, to, tu. Na prawo od wierzchołka-uskok, plama ciemniejszych traw, trzy palce w prawo, dwa w dół—jar. W tym jarze—piechota, grupująca się do natarcia. Zadanie—zniszczyć tę piechotę. Celownik—3,500.

Po chwili bucha pierwszy strzał i nad nami zaczynają gwizdać pociski tak sugestywnie wytyczając kierunek swego lotu, że wprost ma się złudzenie, iż widzi się je w powietrzu.

Tam, nad jarem prysł pierwszy granat. Pióropusz szarego dymu i wytrysk ziemi—wykwitł nad samym jego zboczem.

—Wspaniale-wyrwały się słowa bezinteresownego uznania dla bojowej roboty naszych kolegów. Kto kieruje ogniem?

Tymczasem następne trzy pociski—trzepnięto od razu całą baterią—rąbnęły w samą szczelinę jaru!

—Psim synom gorąco byłoby w tej dziurze—pada czyjaś rzeczowa uwaga. . . .

Strzelania idą jedne po drugich, jesteśmy jednak pod wrażeniem tej pierwszej, mistrzowskiej salwy naszych kolegów. . . .

W międzyczasie przychodzi dowódca baterii. Kierował naszym ogniem z punktu obserwacyjnego. Kapitana, doskonałego artylerzystę, nazywają powszechnie "śrubą," bo choć bateria jest dobra i on o tym wie nie gorzej od nas—często obiecuje nam, że "przykręci śrubę" i tak już dostatecznie przykręconą. Tym razem kapitan jest bardzo zadowolony.

—Strzelaliście bardzo dobrze!

Cieszy nas ta rzadka w jego ustach pochwała.

. . . Jeszcze nie wiemy, że nazajutrz pochwali nas sam Dowódca Wojsk Polskich w Szkocji. Jeszcze nie wiemy, że za dwa dni Inspektor polskiej artylerii specjalnie wyróżni naszą 2 baterię i innym za wzór nas postawi. Jeszcze nie wiemy, że po powrocie z poligonu z ust naszego dowódcy dywizjonu usłyszymy, że możemy wysoko nosić nosy!

. . . Tymczasem przed naszymi oczami, wśród scenerii surowego górskiego pejzażu rozgrywał się zażarty artyleryjski bój.

Na razie pociski ryły jałowe pustkowia szkockich pagórów. Ale już mieliśmy pewność, że kiedy któregoś jutra uderzą we wroga—bić będą celnie i nielitościwie. Nić wspaniałej tradycji polskiej artylerii, jednej z najlepszych na świecie—została nawiązana. . . .

Rek

Generalski pokój

Na polu było ciemno.

Deszcz dzwonił po szybach, a wiatr plątał się między drzewami, wygrywał dzikie, chaotyczne melodie na konarach, zrzucał resztki złotem szeleszczących liści. . . . Stare drzewa kilkusetletniego parku kurczyły się, przyciskały zziębniętymi konarami do siebie, tuliły mocniej do ziemi. . . Czas był paskudny, wieczór mglisty, deszczowy, ciemny.

W taki wieczór wybrałem się pod okratowane okno generalskiego pokoju—ot, tak z żołnierskiej ciekawości.

Drzewa pluły na mnie mokrymi liśćmi, chlustały wodą, wiatr wdzierał się za kołnierz.

Okno było trochę nieszczelne. Widać, okiennica się nie domykała. Przez szparę mogłem zobaczyć wnętrze. . . .

W pokoju było jasno.

Generał siedział na drewnianej, prostej białej ławie. Takiż sam biały stół stał tuż obok, a w kącie stało łóżko. Zwykłe, ordynarne, żelazne, żołnierskie łóżko. Na nim parę szarych, fasowanych koców . . . ot, i to wszystko w generalskim pokoju—nie, nie wszystko. Na ramię kominka szkockiego stał obraz Czarnej Pani z Częstochowy—tej Matki Bożej z dwoma szramami na ciemnej twarzy. . . .

Generał patrzał wzrokiem syna na Matkę, Matka zdała się uśmiechać do dziecka. Palce generała mięły czarny, ciężki różaniec. . . . Szklisty szmer przesuwanych przez palce paciorków zdał się konać gdzieś za oknem, mieszał się z poszumem wichru, plótł się z szelestem spadających liści, bluzgał razem z deszczem na ziemię.

Generał modlił się—może za kamieniowaną Ojczyznę, może za swą matkę, a może za poległych swoich żołnierzy. . . .

Pamiętam jego twarz jeszcze z Polski. Głos jego dziwnie sucho brzmiał z katedry uniwersyteckiej, nawet trochę go nie lubiłem za ten suchy akcent. Dziś pokochałem go jak ojca—za co? Za ten czarny różaniec, za ten ciemny obraz ze szramami na twarzy, za ten szelest przesuwanych przez ręce paciorków. . . .

A deszcz cubrzył i pluł w oczy mokrymi liśćmi, wiatr uganiał się między konarami drzew, szeleszczące liście spadały lekko na ziemię—noc pęczniała mgłą i potęgowała się ciemność. . . .

Ktoś wszedł do pokoju generalskiego. . . .

Generał wyszedł—na czapce ze srebrnym wężem i dwoma gwiazdkami leżała czarna, ciężka koronka. . . . Szklisty szmer paciorków zdał się jeszcze unosić w pokoju, przez wąską szparę zdał się cedzić na pole—a noc gęstniała i płakała deszczem, tłukła się razem z wiatrem między konarami drzew, wieszała się na rynnach, spływała razem z wodą do kanałów.

Drobna postać generała wsunęła się do pokoju, a palce znów mięły czarny różaniec . . . szklisty szmer przesuwanych przez ręce paciorków wzmógł się—za oknem pęczniała ciemnościami noc. . . . Na srebrnym ciele Ukrzyżowanego łamały się i gięły promienie świetlne—czarne paciorki szeleściły mocniej. . . .

Paweł Łysek



Lektura na odcinku

Wieczór Polski

Małe uniwersyteckie miasteczko szkockie, to samo, które niedawno nadało doktorat *honoris causa* Naczelnemu Wodzowi, nie posiada wielu miejsc rozrywkowych. To też zarówno szanowni mieszkańcy i mili—jak mówią—"okupanci" nudzą się często.

Zapoczątkowany więc przez naszych chłopców zwyczaj urządzania co jakiś czas koncertów lub przedstawień—przyjmowany jest prawie z entuzjazmem. Tym bardziej, że poziom ich jest wysoki, dostosowany do kulturalnej publiczności. Przez dłuższy czas koncerty te są tematem "*talk of the town.*" Całe miasteczko o nich mówi, komentuje, chwali.

Łagodzą one, choć w części tęsknotę miłych gospodarzy za turystami, których ciżba się tu zbierała przed wojną, wnosząc atrakcję, ruch cudzoziemszczyzny i nierzadko pełne portfele.

Nowi przybysze siedzą tu już długo, zajmując hotele i przesiadując w gościnnych prywatnych domach. Zaaklimatyzowali się. Pełno ich wszędzie. Na ulicach, w kawiarniach przeważa kolor "khaki."

A późnym wieczorem jakiś patrol przerywa nadmorskie romantyczne rozmówki—przeważnie z młodymi nauczycielkami w celu pogłębienia studiów językowych, tłumacząc, że . . . późno . . . rozkaz . . . nie wolno.

Ku zadowoleniu tubylców język naszych chłopców co raz więcej służy do celów wyznaczonych mu przez naturę, zastępując—rozpowszechnioną przedtym — wymowę gestów i rąk. Minął bezpowrotnie czas, kiedy obserwowali nas trochę nieufnie, z obawą. Słyszeli bowiem o tym "wojowniczym plemieniu," przybyłym z "dalekich krajów"—gdyż, jak wiemy, geografią się niezbyt interesują, a nasza propaganda przedwojenna nie może się poszczycić wielkimi sukcesami. Ale "dzicy wojownicy" okazali się milymi kulturalnymi ludźmi. Nienagannym na ogół zachowaniem, słowiańską subtelnością zjednali sobie starszych, a młodszą część społeczeństwa—naturalnie płeć piękną wprost oczarowali. Ale wróćmy do tematu.

A temat, o którym chcę pisać to—piąty z rzędu "Wieczór Polski" z muzyką, śpiewem, tańcem. Sala dużego kina wypełniona była do ostatniego krzesła, a długi ogonek z braku miejsc musiał wrócić do domów. Obiecano im jednak, że widowisko zostanie powtórzone.

"Wieczór" rozpoczął się wprowadzeniem na scenę pary dzieci szkockich, które jakoby otrzymały w podarunku od polskiego żołnierza książkę o Polsce. Książka ta, dużych rozmiarów, zajmowała pół sceny i z wnętrza jej—po otwarciu przez małą dziewczynkę—wysypały się tancerki w barwnych kostiumach. Sam pomysł—stary, przypominający trochę sceny z rewii warszawskich, wykonany jednak artystycznie z wielkim talentem i smakiem przez kol. K., wypadł bardzo dobrze. Druga część dekoracji: fronton katedry wileńskiej, kolumna Zygmunta z Warszawy i lekko rzucone snopy zboża wypełniały piękną scenę.

Całość programu bogata i urozmaicona składała się z: pieśni chóru, sola fortepianowego kol. B., który gorąco oklaskiwany i znany już z poprzednich koncertów musiał dwukrotnie bisować, tria Halskiego, śpiewu solowego i tańców. Tańce, a szczególnie zaimprowizowany "Umarł Maciek," ruchem, barwnością kostiumów i dobrym wykonaniem pod kierownictwem kol. W., zachwyciły publiczność.

Impreza ze wszech miar udana, zrobiła jak najlepsze wrażenie i we wspomnieniach miejscowej ludności pozostanie napewno na długo, gruntując znaną już przyjaźń polsko-szkocką. Korzyści z tej zdrowej propagandy na froncie kulturalnym są niewątpliwe.

Zenon Sikorski

Przegląd polityczny

Kiedy w listopadzie 1918 roku, po zwycięstwie nad Niemcami, Francja stała u szczytu potęgi—Clemenceau mówił w Izbie Deputowanych:

— *Armia nasza była niegdyś żołnierzem Boga, dzisiaj jest armią ludzkości. Francja będzie zawsze wielka i silna, jeżeli armia jej będzie żołnierzem ideału.*

Historia każdego państwa nie składa się jedynie i wyłącznie z samych powodzeń. Przychodzą chwile ciężkie i złe, przychodzą okresy klęsk. Ale zwycięstwo należy do tych, którzy mimo klęsk, mimo przeciwności, mimo katastrofy nawet—*nie tracą hartu i nie załamują się moralnie.* Polska, Belgia, Holandia, Norwegia, Jugosławia, Grecja—walczą w dalszym ciągu mimo, że kraje te znajdują się chwilowo pod okupacją wroga. Rząd w Vichy, niesłusznie zwany rządem francuskim, sprzedaje za miskę soczewicy, za jakieś bliżej nieznane obietnice Hitlera—*ten ideał honoru służby w obronie ludzkości, te wartości, o których mówił Clemenceau, że są posłannictwem Francji.* Darlan, wicepremier i zastępca zniedołężniałego, 85-letniego Pétaina, podpisal akt współpracy z Niemcami. Jesteśmy świadkami jednego z największych upokorzeń w dziejach wielkiego narodu, jesteśmy świadkami hańby. Samoloty niemieckie za milczącą zgodą Wysokiego Komisarza w Syrii już lądują na lotniskach francuskich, a wozy samochodowe francuskie transportują arabskich "ochotników" do armii w Iraku.

O co chodzi Niemcom? O opanowanie trzech najważniejszych punktów kolonialnego imperium francuskiego, które stanowią:

1. *Syria.*—Pozycja strategiczna pierwszorzędniej wagi, szachująca z jednej strony Turcję, z drugiej Palestynę a pośrednio Kanał Sueski. Niemcy, nie mogąc sforsować wspaniałego oporu Wavella w Libii, starają się otoczyć Egipt od północnego wschodu.
2. *Marokko.*—Klucz zachodniego basenu Morza Śródziemnego, kraj strzegący ważnych dróg z Atlantyku do południowej Europy.
3. *Dakar.*—Najbliżej Ameryki wysunięty ląd afrykański. Punkt węzłowy na Oceanie Atlantyckim, którego zajęcie przeciełoby połączenie Wielkiej Brytanii z Przylądkiem Dobrej Nadziei, to jest dawną drogą z Indyj do Anglii, nadzwyczaj ważnym dzisiaj szlakiem morskim.

Dążenia niemieckie są jasne i dlatego reakcja zarówno W. Brytanii, jak i Ameryki jest bardzo silna. Przez zajęcie Marokka lub Dakaru *interesy Stanów Zjednoczonych i w ogóle Ameryki zostałyby poważnie zagrożone.* Hitler, stosujący politykę okrążenia szachowałby Stany od południa, panując nad środkowym Atlantykiem. Wiedzą o tym w Waszyngtonie i dlatego Roosevelt nie poprzestał na potępieniu postępowania rządu w Vichy, bezprzykładnej zdrady interesów nie tylko sprzymierzonych, ale nawet najżywotniejszych interesów francuskich i polecił zarządzić konfiskatę okrętów francuskich w portach amerykańskich, między innymi słynnej "Normandie."

Ameryka w olbrzymiej większości zdaje sobie sprawę, że wojny nie zdoła uniknąć. Co więcej. *Z oświadczeń Roosevelta wynika, że Stany Zjednoczone są już właściwie w wojnie, która następuje bez formalnego jej wypowiedzenia.* Wojna europejska przeistacza się w wojnę światową, w walkę już nie o poszczególne kraje czy granice, *ale o zły czy dobry ustrój całej ludzkości.* Od czasów wędrówek ludów nie było okresu tak brzemiennego w następstwa, jak obecny. Największe wartości kultury, etyki i chrześcijaństwa są w grze.

Nie ma już neutralnych. Wszystkie narody świata muszą wybierać albo między tępą tyranią ustrojów totalnych albo między wolnością zarówno państw, jak i podstawowymi prawami jednostki ludzkiej. Walka jest ciężka, ale stawki w tej grze są również olbrzymie.

Za Wielką Brytanią, Ameryką i krajami sprzymierzonymi stoją potężne czynniki, jakim jest—*prawo moralne.* Wojna ta jest walką czynników moralnych. Same zwycięstwa, same sukcesy terytorialne, choćby nawet nie wiadomo jak błyskotliwe—tu nie wystarczą.

Jednym z przykładów, wskazujących na fakt, jak ciężka jest sytuacja Niemiec właśnie pod względem moralnym *wskazuje, między innymi, ucieczka Hessa.* Nie wiemy jeszcze dokładnie w tej chwili, jakimi pobudkami kierował się zastępca Hitlera i jeden z najwybitniejszych działaczy nazistowskich, dezerterując do tych, których jeszcze dwa tygodnie temu nazywał "swymi największymi wrogami." Prasa i radio niemieckie jest w kłopocie. W pierwszym dniu robiono z Hessa wariata. Potym starano się sugerować, że Hess przyleciał z jakimiś propozycjami pokojowymi.

Wspominamy o tych wersjach, aby przestrzec przed zbyt zawiłymi sądami, jakie pojawiły się czy to w prasie, czy to w części opinii publicznej w związku z ucieczką Hessa. Wszystkim tym pogłoskom przeczy jeden fakt, zasadniczy i najważniejszy: mianowicie wspomniana już przez nas dezorientacja radia i prasy niemieckiej. *Gdyby lot Hessa był z góry ukartowany, to świetnie zmontowana propaganda Goebbelsa zajęłaby w tej sprawie jednolite stanowisko, zaraz od pierwszej chwili.* Nie robiono by z Hessa wariata, następnie tajemniczego ambasadora, a w końcu wysłańca Führera do Irlandii, który musiał tylko "przypadkowo" lądować w Szkocji.

Ucieczka Hessa tłomaczy się o wiele prościej: w partii nazistiwskiej są silne tarcia. *Hess uciekał po prostu przed losem Röhma.* Dlaczego uciekał do Szkocji a nie do krajów neutralnych, n.p. Szwajcarii? W Szwajcarii dosięgnęłaby Hessa ręka Gestapo. We Francji, Hiszpanii, Szwecji i t.d.—wydano by go po prostu pod presją Führera w ręce niemieckie.

Z lotem Hessa nie łączymy żadnych, bardziej sensacyjnych wydarzeń na terenie międzynarodowym. Jest on bardzo ważny z psychologicznego, z moralnego punktu widzenia. Wbrew pozorom—zwartość wewnętrzna Trzeciej Rzeszy nie jest bynajmniej "murowana." Nie jest nawet drewniana. Wszystko zależy od czynników, najzupełniej zakrytych przed oczyma społeczeństwa. Ten sam Hess, twórca obozu w Dachau, jeden z najbardziej nieprzejednanych wrogów Anglii, Polski, demokracji, ten Hess, który jeszcze trzy tygodnie temu konferował z Darlanem, "wicepremierem" Pétaina, a który dzisiaj oddaje się w niewolę, dezerterując do nieprzyjaciela — jest stwierdzeniem, że na ścianach potężnego gmachu, który podstępem i rozbojem umocnił Hitler pisze już ręka Opatrzności złowieszcze słowa: "Mane, Tekel, Fares." Niemcy są u szczytu potęgi, ale kara Boża jest może bliżej, aniżeli się przypuszcza.

Ucieczka Hessa, który odegrał poważną rolę w pohańbieniu rządu Pétaina—powinna zastanowić wszystkich Francuzów, będących, jak sami twierdzą, najbardziej logicznym społeczeństwem świata. *Co warte są podpisy i przyrzeczenia ludzi, którzy w trzy tygodnie później będą zmuszeni do szukania ocalenia życia przez dezercję do tych, o których twierdzili, że są już pokonani,* przysięgali, że "zwycięstwo Trzeciej Rzeszy nie ulega wątpliwości."

Od początku wojny powtarzamy zdanie, że walka dzisiejsza, tak odmienna od wszystkich dawniejszych metod prowadzenia wojny—jest kampanią, w której przede wszystkim czynniki duchowe, moralne, odgrywają zasadniczą rolę. Prędzej czy później będą musiały zacząć one działać na naszą korzyść. Przykład Hessa wskazuje, że już działają. I dlatego, mimo, że zdajemy sobie doskonale sprawę z powagi sytuacji i jesteśmy jak najdalej od zdawkowego, optymistycznego frazesu, jednak z całym spokojem śledzimy poszczególne epizody walki dodatnich i ujemnych sił ludzkości. Czeka nas jeszcze niejedna, ciężka próba. Ale wierząc w przyszłość świata—jesteśmy przekonani, że prawda i sprawiedliwość prędzej czy później muszą zwyciężyć.

tk

Poszukiwania

Helena Domnarska poszukuje kuzyna Mieczysława Mola z Krakowa.

Wszelkie informacje o losach ppłk. Czesława Grzybowskiego (ostatni przydział: Gł. Rzeczoznawca C.O.M.U.) podczas kampanii wrześniowej proszę kierować p.a. Stefan Grzybowski P/11 G.P.O. Perth.

Wszystkich, którzy mają jakiekolwiek wiadomości gdzie znajduje się: syn mój Henryk Sojka ur. 15.VII.1920 w Radlinie na Śląsku oraz bratanek Wiktor Czemplik ur. również na Śląsku, proszę bardzo o napisanie pod adresem: Leon Sojka, 33, North Bridge Street, Airdrie, Scotland.

Jan Śliwa ma w Redakcji "Polski Walczącej" list do odebrania.

Ksiądz Medard Grzebień poszukuje brata Bronisława Grzebienia.

P. Misiek jest poszukiwany przez żonę i dzieci.



rys. Jerzy Faczyński

Nowy Don Kichot i jego Sancho Pansa

SPIS RZECZY

WYDAJE BIURO PROPAGANDY I OŚWIATY.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. 1-e piętro.
Redaktor przyjmuje w soboty od godziny 11-ej-13-ej.
Przedruk dozwolony tylko za podaniem źródła.

Warunki prenumeraty: Miesiecznie z przesyłką pocztową—sh. 1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh. 3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.
Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.10 0d. bez względu na stronę, drobne ogłoszenia—sh.5 0d. za 1 cal. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy i osób 50% taniej.
Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506. Adres Agenta dla ogłoszeń angielskich (Advertisement Offices) 415, Oxford Street, W.1. Tel., MAYfair 4973.

Printed for the "Polska Walcząca," by St. Clements Press (1940), Ltd., Portugal St., Strand, W.C.2.